

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 1 - 4 stycznia 1948 r.

Nr 1 (110)

TREŚĆ NUMERU: J. Wikariak - Jak pacierz. Poezje Jerzego Wolкера. E. Pauksta - Pierwsze tłumaczenie z czeskiego. Przegląd prasy świątecznej. D. Horodyński - I like America. Wędrowki po scenach polskich. Tydzień kulturalny. Ks. H. Weryński - O polskich świętych. J. A. Górski - Troska materialna młodzieży. Z działalności Kościoła Katolickiego w U. S. A. St. Podlewski - Kiedy cichy zakątek sług Bożych stał się piekłem. Stefan Kisielewski - Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. J. Siwkowska - Kolęda w pałacu Pacy. Czytelnik uważa że...

Yves Congar O. P.

ŚWIĘTOŚĆ I GRZECH W KOŚCIELE⁽¹⁾

Zastosujmy podane uprzednio rozróżnienia:

Ecclesia, id est fides et sacramenta")
W pierwszym rozumieniu słowa Kościół, Kościół jest instytucją, pochodzącą od Boga, zbiorem podstaw, które ustanowił Jezus Chrystus, aby uczynić z ludzkości swe Ciało. Podstawy te, to przede wszystkim wiara (wiedza objawiona) i sakramenta wiary, a wywodząca się z wszechmocnej potęgi Chrystusa Króla, Kapłana i Proroka. Podstawy te stanowią również „charyzmaty”, dary łaski; jest to wreszcie najłaskawszy zamysł Boga powzięty w Jego mądrości i objawiony w Jego słowach.

Mamy więc do czynienia z darami i przyrzeczeniami Boga, które partycypują w Jego nicomyślności przez to, że z Niego wypływają. Dary te dane zostały ludziom i nie raz, jak np. w wypadku nauk, przekazywanych przez apostołów i proroków, uczynione ludziom zostały za pośrednictwem innych ludzi. Lecz nie rozpatrujemy na tym miejscu osobistego stosunku, ani personalnego użytku, jaki ludzie mogą z darów tych uczynić; rozpatrujemy dary Boga same w sobie, takimi, jakimi z rąk Jego wyszły i jakimi, dzięki dobroci Jego, nadal istnieją. W tym podejściu nawet, jeśli dary Boga zostają udzielone czy przekazane za pośrednictwem człowieka, nieomyślność boska pozostaje z nimi, gdyż pośrednictwo ludzkie służy jedynie za narzędzie. Filozofia uczy nas, że przyczyna instrumentalna, jest paradoksalnym środkiem, dzięki któremu uzyskać można większe siły w rezultacie końcowym, niż te, które są w bezpośrednim źródle; przyczyna, która daje to, czego sama nie posiada, ponieważ, jeśli działa, siła, która bierze udział w jej dziele, pochodzi z wyższego, niż ona sama źródła.

To są możliwości, przysługujące stworzeniom, odkąd Bóg posunął swą dobroć aż do używania ich jako pośredników swego dzieła.

Tak więc Kościół w swych istotnych pierwiastkach, nie tylko tych, jakie istnieją w Bogu, lecz i tych, które zostały Kościołowi dane i tych, które stanowią zasadnicze Jego podwaliny, jest bezgrzeszny, nieomylny i niepokalany — bezgrzesznością, nieomyślnością i niepokalaniem samego Boga i Jezusa Chrystusa. Kościół nie może błędzić w zagadnieniach, stanowiących sedno Jego istoty, gdyż są to zagadnienia, reprezentujące w nim dary i obietnice Boga. Wiara Kościoła nie może pod-

¹⁾ Patrz poprzedni (51—52, 108 — 109) numer „Dziś i Jutro”.

legać wahaniom i sakramenta jego są zbawienne w granicach, w jakich Bóg je ustanowił (znaczenie *ex opere operato*). Konieczność reformy nie odnosi się do tych najistotniejszych pierwiastków, gdyż co do nich, Kościół nie może się mylić; konieczność ta, przeciwnie, występuje w odniesieniu do używania czy nadużywania jego zasad, którego to nadużywania, jak dalej zobaczymy, ludzie mogą się dopuszczać. W ten sposób wyraźnie wyłania się płaszczyzna, na której wystąpić może nieudolność i ograniczoność, a stąd i potrzeba reformy w Kościele. Nie w dziedzinie samych najistotniejszych pierwiastków Kościoła, w dziedzinie natomiast sakramentów czy nocy, z nimi związanych. Bo są to, dane Kościołowi, rzeczywiste dary Boga; ludzie mogą się im sprzeniewierzać, mogą być zbyt nieudolni, aby je całkowicie wykorzystać; dary Boga nie podlegają skażeniu nie tylko w Bogu, ale i w Kościele, któremu Bóg je dał.

I tu jest stosowne miejsce, aby wyjaśnić nieporozumienie, które literalnie wszczepił w myśl protestancką i które, od czasów Reformacji, utrudnia wszelkie wymiany myśli między protestantami a nami. W wyżej omawianym znaczeniu słowa Kościół, uważamy, że Kościół sam w sobie jest bezgrzeszny; że jest On takim w swej istocie, choć dzieje się to jedynie dzięki Bogu. Od

czasów Lutra wydaje się protestantom, że wszystko, cokolwiek by było przypisywane Kościołowi, czy, w ogólniejszym ujęciu, stworzeniu, zostawałoby niejako odbierane Bogu; że, omawiając jakąś rzeczywistość w człowieku czy Kościele istniejącą cechę, uważałoby się, że człowiek czy Kościół są jej źródłem. Na tym rozumowaniu, wydaje mi się, polega olbrzymia, tragiczna pomyłka dwuznaczności, obciążająca krytykę luterancką „*justitia domestica*”. Mówiąc, że prawość (to znaczy świętość) winna mieć inne, niż nasze własne jaźnie, źródła, wypowiada Luter tradycyjną prawdę katolicką, prawdę, którą również wyraził się go w Soborze Trydenckim: sformułuje tak, że pozwoli to napisać Hamack'owi „Reformacja nie byłaby się nigdy rozwinęła, gdyby dekret Soboru Trydenckiego o prawości przedłożony był Soborowi Laterańskiemu w 1512 — 13 r., gdyby został on rzeczywiście wcielony w ciało i krew Kościoła”. Lecz dwuznaczność leży w wyrażeniu „*justitia domestica*”, co równie dobrze tłumaczyć można: „jest nasza, ponieważ od nas pochodzi” jak: „jest nasza, ponieważ jest w nas”. Wbrew temu, o czym przekonywuje mnie pastor L. Marchand, upieram się przy twierdzeniu, że luteranckie pojęcie prawości przyjmuje, z dwu możliwości, znaczenie niezgodne z tradycją katolicką. W każdym bądź

razie to dwojakie tłumaczenie istnieje nadal, co łatwo np. zauważyć w następującym tekście R. Bartha, w którym podkreślam zawierającą ową dwuznaczność, słowa: „Dane nam było widzieć, że Jezus Chrystus przyjął na siebie nasz grzech. Z innego punktu widzenia spojrzmy teraz na tę zamianę: bierzemy Jego prawość, Jego świętość; przekazane nam zostaje wszystko, cokolwiek jest w Nim boskiego (a więc obcego nam). Stajemy się prawymi, świętymi, dobrymi (brak prawie śmiałości wypowiedzenia tych słów) nie prawością, świętością i dobrocią naszą wewnętrzną, promieniującą z naszej postawionej czynów, lecz prawością, świętością i dobrocią, dane wana nam. ... sica naszej naturze...”
Stoimy na stanowisku, że nieomyślność towarzyszy darom Bożym i, z tytułu łaskawego daru Boga, istnieje w Kościele.

W pierwszym więc pojęciu Kościół rozumieniu, pochodzi On od Boga. Jemu zawdzięcza wszystko czym jest, złączony jest z Bogiem, jako ze swym źródłem: Kościół jest rzeczywiście obłubienicą i tak też „wi o Nim Don Vonier w „Duchu i „Obłubienicy”. Dlatego to, bez wątpliwości, w całej liturgii mówi się o zaślubinach Chrystusa z Kościołem przy omawianiu chrztu Jezusa, tej chwili, w której ustanowiony został pierwszy sakrament. Lecz chrzest dopiero przez śmierć i zmartwych-

wstanie Chrystusa uzyskał swe pełne znaczenie, a zaślubiny naprawdę celebrowane są na krzyżu, to też św. Paweł mówi:

„Mężowie, kochajcie żony wasze, jako Chrystus ukochał Kościół i ofiarował Siebie, aby go uświęcić, po oczyszczeniu go słowem w wodzie chrztu, aby ten Kościół stanął przed Nim w pełni chwały, bez plamy, bez skazy, ani czegoś podobnego, święty i niepokalany. Tak oto mężowie winni kochać żony swoje, jako siebie samych kochają. Ten, kto kocha żonę swoją, siebie samego kocha. Bo nie zdarzyło się, aby ktoś nienawidził ciała swego, lecz każdy, kto kocha, stara się, aby się zachował dla Chrystusa w stosunku do Kościoła, jako że jesteśmy częściami Ciała Jego.”

Odtąd Kościół pozostaje połączony z Chrystusem i czysty jest dzięki temu, nie dającym się rozerwać, związkowi. Jedynie Bóg nie może grzeszyć, jedynie Bóg, będąc po prostu samym Sobą, nie naśladować innych, niż On wzorów, nie może błędzić: gdyż jedynie Ten nie posiada wzorów, kto sam jest wszystkim, wzorem doskonałym. Kościół zaś wolny jest od ułomności w takim tylko stopniu, w jakim jest on związany i złączony z Bogiem, w jakim jest on Jego Obłubienicą w znaczeniu stanowienia jednego z Jezusem Chrystusem ciała.

Cesze świętości towarzyszy w Kościele dokładnie Jego cecha Obłubienicy i daje się stwierdzić w tych samych okolicznościach. W znaczeniu, w jakim nasamprzód rozpatrujemy pojęcie Kościół—jest On święty świętością obiektywną i niepostrzegalną (na mocy daru i przyrzeczeń Boga) świętością nieuzależnioną od ludzi, przynależących do Kościoła, lecz wynikającą z Jego istotnych, podstawowych założeń. Jako Dom Boga Kościół jest święty, niezależnie od tych, którzy go zapelniają. Święty jest w swojej wierze, w swych sakramentach, w władzy apostołskiej, wywodzącej się z władzy Boga, i dotrzymującej kroku wierze i Sakramentom wiary, święty jest obiektywnie i świętości tej, nierozłączalnej z darami, które od Boga otrzymuje, nie może stracić. W czasie przeróżnych kryzysów, które przeżywał na Zachodzie, kryzysów, będących następstwami montanizmu, Nowatyzmu, a szczególnie donatyzmu, Kościół jaśniej uprzytomnił sobie, że istnieje w nim stan świętości obiektywnej, niezależnej, a dawniejszej, niż świętość jego członków. Wyzwolenie tej prawdy było wielką zasługą teologii, opracowanej przez św. Augustyna przeciwko

Wytyczne

M A S Y

Na ostatnim zjeździe Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu powiedział w swym świetnym przemówieniu Jerzy Zawieyski: „Za kolegą Żółtkiewskim stoją masy — ale za mną także stoją masy” Powiedzenie to — nie jest tylko cczą deklamacją. To zdanie — to lapidarne odkrycie jednej z najbardziej głębokich prawd dnia.

Spory ideowe nie są dziś sprawami grupy intelektualistów czy zapalczyków. To chleb powszedni każdego niemal człowieka. Upowszechnienie kultury idzie równoległe z upowszechnieniem idei. Udział wszystkich w procesie wytwórczym dokonuje się obok udziału wszystkich w procesie krystalizowania się aktualnego odbicia się światopoglądu

Za każdym z nas, którzy wypowiadamy myśl poczętą z katolickiego ducha stoją masy. Poczucie radości, jakie budzi to odkrycie, krzyżuje się z uczuciem lęku. Waga bowiem słowa stała się wielką wagą.

Trzeba, abyśmy my, rzeszący, zdawali sobie z tego sprawę. Za dużo się u nas ostatnio pisze „sobie a muzom”? Za dużo się znów budzi chęć estetyzowania, liberalizowania stawiania samego siebie „na głowie”. Naturalnie nie nawołujemy do tendencyjności czy demagogii. Chcemy tylko „prostoty słowa”. Tej prostoty właściwej największej sztuce, prostoty, która musi charakteryzować człowieka mówiącego w imieniu mas. Prostoty potrzebują ci, co piszą i ci, co ich czytają. Prostoty, prostoty i jeszcze raz prostoty! Tego, co się w Ewangelii nazywa: tak, tak — nie, nie.

Dm 59/107 R: 40

Donatowi. W syntezie systematycznej św. Tomasz zachował i sprecyzował jeszcze poglądy św. Augustyna w wyobraźni istoty sakramentu: istnieje stan świętości i kultury, wywodzący się z Kapłaństwa Jezusa Chrystusa, wyższy jest ponad wahania jednostek, niezależny od zmiennych i niepewnych cech ludzkich. Istnieje również w charyzmacie episkopatu, a szczególnie w charyzmacie Stolicy Apostolskiej prawo i kryterium prawdy. Istnieje w Kościele świętość i prawda w pewnej zmianie podstawowa, która poprzedza i dominuje nad życiem osobistym jego członków.

CONGREGATIO FIDELIUM

W drugim słowa zrozumieniu Kościół, to społeczność chrześcijan, zgrupowanie wiernych. Utworzony jest przez swych członków. Jesteśmy teraz nie w dziedzinie darów Boga, rozpatrywanych w ich istocie, czystości i stopniu, w jakim się od Boga wywodzą, w jakim zostały przez Niego udzielone i dzięki Niemu w Kościele znajdują się, lecz w dziedzinie użytku, jaki ludzie z tych darów zrobili: ludzie z ich wolnością, z ich słabością, nieśmiałością i najrzeczywistszą ułomnością, oto naprawdę wrota, którymi grzech i zło przedostaje się do Kościoła; czynnik wprowadzający przez ludzi, którzy stanowią lud Boży, czyli „przezczyna materialna”.

Nadal należy jednak precyzować. Można rozpatrywać wiernych indywidualnie i wtedy wszyscy oni są grzesznikami w jakimś znaczeniu i w jakiś sposób; można rozpatrywać społeczność, którą tworzą: społeczność ta, jako taka, jest święta, gdyż Duch św. zesłany w czasie Zesłania Ducha Św. nigdy jej nie opuścił i nie opuścił. Św. Tomasz mówi, że wiara Kościoła zawsze jest kształtowana przez miłosierdzie. Ludzie w nim grzeszą na wszelkie sposoby. I wszyscy członkowie Kościoła, sami indywidualnie, są grzesznikami. W rzeczywistości wszyscy są grzesznikami za wyjątkiem Matki Najświętszej, która jest wyjątkowym członkiem Kościoła. Lecz sama społeczność jest święta i nie tylko ona w swych podstawowych założeniach, lecz i przynajmniej część jej członków, w pewnych specjalnych momentach, nie może odezwać się, ani odwrócić od Boga. Dlaczego? Gdyż wierność i bezbłędnosć należą również do przyrzeczeń Boga (ef. Luc, XXII, 31—32; Matth XXVIII, 20, etc.).

Jeżeli sama społeczność jest zawsze spojona z Duchem Św., a zatem niezmiennie święta i Oblubienicą, poszczególne dusze mogą albo być, albo nie być z Bogiem złączonymi. Dwojakie są dary, którymi Bóg ustanowił swój Kościół: dary służby życia, dary rozpowszechniania, które możemy stosować i spełniać dobrze albo źle, — i dar samego życia, „życia w Chrystusie”, wewnętrzna prawda, wynik istnienia w nas Ducha Św.: dar, który możemy przyjąć, lub odrzucić, uszanować go lub zdradzić. Dziedzina użytkowania darów służby i wierności darom życia jest dziedziną, w której występuje wolność ludzka; jest więc terenem działania własności ludzkiej, gdzie możemy się narazić na stratę darów Boga. Możemy postępować według wskazówek Ducha lub słuchać ciała (Gal. V 24—25).

Stosowano niekiedy w odniesieniu do samego Kościoła wyrażenie paulińskie „ciało grzechu” (Rom VI 6), równoznaczne z wyrażeniem „ciało ciała” (Col II 11) Nie znaczy to, aby sama cielesność była zła, cielesność wiernych, których ciało może być narzędziem sprawiedliwości (Rom VI 12—13, XII 1 etc.) czy Kościoła samego, którego cielesność, czyli strona zewnętrzna i widoczna, sama przez się dobra jest i potrzebna. Nie sam Kościół, jako społeczność, lecz osoby, poszczególni ludzie, podlegają pokusom i grzeszą. Przez nich, w nich, którzy należą do Kościoła—

poznaje on pokusę i grzech; przez nich i w nich zostaje jakby Kościół zbrakany najróżnorodniejszymi nieczystościami. Kościół co wieczór w komplecie (według obrzędu łacińskiego) przykazuje nam czytać ostrzeżenie św. Piotra:

„Czuwajcie, wasz wróg diabeł, jako lew ryczący krąży wokół was, szukając, kogo by pożarł. Oprzyjcie im się, nieugięci w wierze”...

I w dalszym tekście:

„Wiedząc, że bracia wasi rozproszeni po świecie narażani są na też same, co i wy, próby”...

Lud Boży jest ludem, wystawianym na pokusy i zarówno lata, które Izrael spędził na pustyni między Egiptem a Ziemią Obiecaną jak i te, które przeżywamy obecnie, między Królestwem Niebieskim a światem, jednakowo są latami pokus. Często więc grzechu i w następstwie pokusy. Kościół, jako zbiór ludzi, którzy się nań składają, poszczególnych indywidualności i osób hierarchicznych, narażony bywa na pokusę i grzech i zniewalany do pokusy. Oto dlaczego św. Ambroży, którego stanowisko już znamy, mówi, że Kościół płacze łzami skruchy, że nie przestaje błagać Boga o wygojenie ran jego i że zbliża się do Chrystusa z uczuciami owej kobiety, która mówiła: „gdybym jeno mogła dotknąć szat Jego, byłabym uleczona”.

Oto dlaczego także św. Augustyn, nawiązując do spraw o których uprzednio pisał, powiada:

„Gdziekolwiek w ksiązkach moich wspominałem o Kościele bez plam i skaz (Eph. V 27) należy rozumieć, że Kościół nie jest takim w chwili obecnej, lecz przygotowuje się do tego stanu na dzień, w którym ukazuje się On w pełni chwały. Narazie, przez ciemność i ułomność swych członków Kościół ma podstawy do codziennego powtarzania „Odpuść nam winy nasze”...

W tym też znaczeniu powiedział do mnie ostatnio wysoki dygnitarz Kościoła Katolickiego: Kościół powtarza „Confiteor”.

Nie jest to zjawisko chwilowe, sytuacja upadku. Siusznie bardzo podkreślono chimeryczność zbyt pięknego obrazu Kościoła początkowego, ściślej, Kościoła Apostolskiego: miał on również swe wady, o czym Nowy Testament dostatecznie świadczy. Kościół bohaterski, Kościół męczenników, bywał również niekiedy Kościołem grzeszników i renegatów: prześladowania w Dèce, dały mu to w tragiczny sposób do zrozumienia i zmusiły Kościół do rozważań ologicznych nad stanem ułomności członków Ciała Chrystusowego.

Co pewien czas jednak dawało się zauważyć ponawianie błędnego rozumowania, według którego Kościół miał być jedynie złożony z ludzi prawych i przeznaczonych do wiecznej chwały: montaniści, schizmatycy, nowatycy, donatycy, później Cathareowi, Wielef, Jan Huss i anabaptyści.

Wszyscy oni wychodzili w różny sposób z założeń katolickich, zapoznając przytem najistotniejszy rys tajemnicy Kościoła. Gdyż przynależność grzeszników do Kościoła nie jest sprawą przypadkową, peryferycznym odstępstwem: jest to zagadnienie strukturalne. Zaangażowane w nim jest najpełniejsze pojęcie Kościoła. Jeżeli jest jedynie ściśle duchowym związkiem z Bogiem, opuszcza się go przez grzech nawet wewnętrzny i to w stopniu, w jakim grzech został popełniony: w istocie grzech zrywa łączność z Bogiem w Chrystusie. Lecz Kościół, będąc związkiem w Chrystusie, jest równocześnie tego związku środkiem: środkiem przyłączenia się doń przez wyznanie wiary i chrzest, środkiem podtrzymywania i udoskonalenia go dzięki bezustannemu promieniowaniu świętości, dzięki pomocy i łasce, środkiem ponownego nawiązania związku przez ćwiczenie woli. Do tego Kościoła — środka łaski, grzesznik przynależy do granic, w jakich nie dotyka grzech jego szczególnie samej właśnie przynależności (schizma, herezja, apostasia) lub dopóki nie zostaje ekskomunikowany. Oto dlaczego, podczas gdy nieczyści i grzeszni nie dostępują wspólności z Chrystusem. Kościół na ziemi przyrównać można do sieci, przepelnionej wszelakimi rybami, dobrymi i złymi, do pola, na którym chwasty miesza się z pszenicą; Kain i Abel zarówno mogą do niego należeć.

I właśnie bezustanne oczyszczanie grzeszników z ich grzechów jest najistotniejszym zadaniem Kościoła. Kościół jest miejscem i narzędziem stosowania odkupienia Chrystusa. Dla wszystkiego, cokolwiek pochodzi z samego Chrystusa, odkupienie jest dziełem dokonanym, lecz dla nas wypełnia się ono jedynie przez bezustanny nasz udział w dziele, udział, który należy stale podejmować i kontynuować — Opus redemptionis exercetur — mówi liturgia.

„Ciało mistyczne, święte ciało mistyczne jest ciałem, w którym dzieło odkupienia dokonywane, a nie zostaje dokonane; w którym więc grzech stale jest obecny i czynny; w którym każde nowopowstające pokolenie powoduje, że grzech w pewnej mierze odżywa, całkowicie odmłodzony; w którym wreszcie ma on swoje przewidziane miejsce; miejsce tego, co winno być umieszczone na zewnątrz, tego, co dostarcza większość prób, które go wyniosą na zewnątrz, miejsce w którym zaczyna pracować odkupienie”.

Liturgia, wyjaśniająca tym, którzy słuchają jej nauk, tak głęboki sens zjawisk, wyświeśla nam istotę pracy Kościoła wyznaczającą perikop. Zacheusa (Luc. XIX 1—10), jako ewangelię w czasie mszy przy poświęcaniu Kościoła. Zacheusz jest, czy uchodzi za grzesznika. Lecz odkąd Jezus wkroczył do domu jego, Zacheusz naprawia popełnione niesprawiedliwości. Zbawienie nawiedza dom jego wraz z Jezusem, przestępcy poborca, wykluczony z kadr ludu Bożego, staje się, on również, Synem Abrahama, „gdyż Syn Człowieczy przyszedł, aby odnaleźć i ocalić, co zostało zagubione”. Jakież stąd wyświeślenie zadania Kościoła: przeprowadzenie ludzkości z „Świata” do ludu Bożego, oraz czyniąc Jezusa obecnym i czynnym, od grzechu do prawości, od potępienia do zbawienia. Kościół, w naszym pierwszym słowa zrozumieniu, tzn. jako instytucja zbawienia, podtrzymuje bezustannie dzieło świętości w Kościele — według drugiego tego słowa ujęcia, to znaczy w Kościele — społeczności wiernych i ludu Bożego.

Kościół w tym drugim rozumieniu, pełen jest grzechów, gdyż pełen jest grzeszników jako całokształt, z grzeszników złożony. Można powie dzieć, w tym znaczeniu, że Kościół (społeczność wiernych, członków ludu Bożego) podlega pokusom, bwa grzeszny i winien odbywać pokutę. Odczuwa stałą potrzebę oczyszczenia i o nie prosi w liturgii. Koszony bywa w członkach swoich i kuszeniu nieraz ulega nieco jak Izrael kuszony był i uległ pokusom na pustyni. Jezus, Wysłannik Boga, przeżywszy w sobie całe przeznaczenie ludzi, zechciał też podlegać pokusom, nie mógł jednak im ulegać, gdyż upodobnił się do nas we wszelkich cechach, za wyjątkiem grzechu. (Hebr IV 15) Kościół grzeszny jest w członkach swoich i w nich odbywa pokutę. Nie on grzeszy. Kościół niezmiennie pozostaje Oblubienicą Chrystusa i nie opuszcza swego Boga; jest On ciałem Chrystusa i stanowi z Nim jedność. (Eph. V), lecz każdy z wiernych może być albo częścią Chrystusa, albo jak mówi św. Paweł „złączyć się nierządnicą i stanowić jedno z nią ciałem” (I Cor VI 15—17). Są i zawsze będą w Kościele członkowie święci; Kościół nie przestaje zapładniać Duchem i rozwijać świętych, lecz nie przestaje również oślaniać grzeszników.

Widzimy przeto, gdzie znajduje się grzech w Kościele Katolickim. Kościół nie stanowi jego podstawy, nie jest nawet jego podmiotem; podstawą i podmiotem grzechu są ludzie, członkowie Kościoła. I odtąd tradycyjne wyjaśnienie naszego zagadnienia wydaje się być całkowicie słusznym i zadawalniającym, ułomności nie są cechami Kościoła, lecz Jego członków.

JAK PACIERZ

Ileokroć chcemy podkreślić ważność jakiejś formułki, wzoru, reguły, mówimy, że trzeba to umieć jak pacierz. Ma to oznaczać, że należy to rzecz umieć wyjątkowo dobrze i wyjątkowo ją „zakajknienia” zawsze ileokroć zajdzie tego potrzeba. Ja osobiście nie używam tego zwrotu. Przekonałem się bowiem, że my naprawdę bardzo często pacierza nie umiemy.

Duże spustoszenie pod tym względem uczyniła okupacja niemiecka. Ojciec i matka zajęci pracą od rana do wieczora, często poza miejscem zamieszkania reszty rodziny, nierazko zamknięci w więzieniu czy obozie koncentracyjnym, nie mogli się zająć wychowaniem religijnym swych dzieci. Kościoły, szkoły w znacznej części kraju były dla Polaków zamknięte. Dzieci chowały się same, względnie wychowywała je ulica. Nic więc dziwnego, że po wojnie wiele dzieci przychodzi do szkoły nie umiejąc nawet „Ojcie nasz”. Nie o tych jednak wypadkach pragnę dziś pisać. Mam na myśli pewien stan, który można by nazwać chronicznym.

Czy ci, którzy rzekomo w domu nauczyli się pacierza, rzeczywiście go umieją i rozumieją? Czy tekst przez nich odmawiany jest ten sam co przekazany przez Pismo Święte względnie ustalony przez Kościół? Niestety bardzo często zachodzą między jednym i drugim wielkie różnice. Jeśli ktoś chce się o tym przekonać, niech uważnie posłucha, jak się nieraz odmawia Modlitwę Pańską albo lepiej niech poleci komuś napisać z pamięci „Ojcie nasz”, czy „Zdrowaś Mario”. Trudno wprost uwierzyć, z ilu przekręceniami można się spotkać. Tekst całkowicie poprawny wśród uczniów szkoły powszechnej, a nawet średniej należy do wyjątków; nie lepiej zapewne przedstawia się ta sprawa u starszych. Przy odmawianiu Modlitwy Pańskiej szczególną trudność sprawiają dwa miejsca: „Święcie się imię Twoje” oraz „I nie wódz nas na pokuszenie”. Zamiast tego spotyka się wcale niestety: „świącie imię Twoje”, „święte imię Twoje” oraz „nie budź (sic) nas na pokuszenie” itd. Poza tym i w innych zdaniach

pełno najdziwniejszych zmian. (Kto nie wierzy, niech sprawdzi!)

Jak temu zaradzić? Trudno tu winić dom czy spodziewać się z tej strony jakiegoś lekarstwa. Rodzice nauczyli dzieci pacierza tak, jak sami umieli; język modlitw codziennych jest niekiedy archaiczny, w nie których miejscach spotyka się formy dziś już nieużywane. Dużo jednak mogłoby zrobić szkoła i Kościół.

Nauczyciel religii niewątpliwie ma do prerobienia obszerny materiał. Sądzę jednak, że jeżeli uczniowie nie umieją pacierza, a według programu mają się uczyć w danej klasie historii herezjarchów czy soborów, to o ile nie ma czasu na solidne nauczanie ich jednego i drugiego, należy zrezygnować raczej z niektórych szczegółów z historii Kościoła, niż z „Ojcie nasz” czy „Zdrowaś Mario”.

Podobnie nie widzę przeszkody, ażeby w kościele jedną i drugą naukę czy kazanie poświęcić omówieniu i objaśnieniu modlitw codziennych w połączeniu z ćwiczeniem w ich odmawianiu. Bo poprawnie odmówić można tylko tę modlitwę, którą się rozumie.

Tu dochodzimy do drugiej kwestii z tym zagadnieniem związanej, mianowicie do sposobu wygłaszania modlitwy. Pod tym względem sprawa przedstawia się wprost rozpaczliwie. Wspólne odmawianie, z jakim się najczęściej spotykamy, sprawia wrażenie, jakby chodziło o wyścig, kto najprędzej skończy. O to, że nie wszyscy mogą nadążyć, albo raczej, że dalszy ciąg modlitwy podejmuje ten, kto „odpoczął sobie” z początku czy w środku, nikt się nie troszczy. Niewiele lepiej przedstawia się sprawa, gdy odmawiającymi są wyłącznie przedstawiciele inteligencji, ludzie z wyższym wykształceniem. Warto posłuchać, w jaki sposób w różnych kościołach odmawia się różaniec. Ktoś obcy, który przypadkowo przysłuchiwałby się katolikom, odmawiającym wspólnie modlitwę, na pewno nie domyśliłby się, że to ma być rozmowa z Bogiem, z naszym ojcem, który jest w niebiesiach.

A i pod tym względem dużo dałoby się zrobić. W szkole można na te kwestie zwrócić uwagę na lek-

cyjach religii i języka polskiego (wyzyskując jako materiał do ćwiczeń w mówieniu, recytacji, wygłaszaniu); przy tym uwzględnić, w odmawianiu indywidualnym szczególnie, nie tylko sens (oddzielanie „Ojcie” od drugiej), lecz również właściwą intonację głosu, akcent uczuciowy.

W kościele ksiądz może, a nawet powinien nauczyć parafian odmawiania modlitw codziennych. Znamy księży, którzy w najtrudniejszych nawet okolicznościach w czasie okupacji umieli bez pomocy „marszałków” utrzymać wzorowy porządek w kościele i wytworzyć warunki sprzyjające prawdziwej modlitwie. W niektórych natomiast kościołach zaobserwować można, jak np. przystępujący do Stołu Pańskiego muszą nieledwie siłą torować sobie drogę; inni bowiem obecni, jakkolwiek w kościele sporo jest miejsc, tworzą przed balustradą wprost nieprzebyty kordon. Dobrze by było, gdyby w czasie, gdy jakiś inny kapłan odprawia nabożeństwo, proboszcz zwrócił niekiedy uwagę na pewne szczegóły, dotyczące obrzędów od strony wiernych. Przy dobrej woli niejedno można poprawić. Przypominam sobie pewien kościół, gdzie każde odmawiane „Ojcie nasz” czy „Zdrowaś” to jakby przygotowana recytacja. Przed laty bowiem proboszcz na zebraniach różańcowych, potem na nabożeństwach uczył wiernych, jak mają odmawiać modlitwy. Ksiądz tego dawno już tam nie ma, ludzie w dużym procencie zmienili się, ale owoce nauki pozostały. Parafianie mają już ustalony sposób odmawiania modlitw i każdy mimo woli dostosowuje się do przyjętego rytmu. Zapewne w większym mieście, gdzie nie zawsze ci sami wierni przychodzą na nabożeństwa, sprawa ta napotka na większe trudności, ale przy dobrej woli nie będą to przekazy nie do usunięcia.

I wtedy, kiedy ogół katolików będzie umiał nie bezmyślnie klepać, ale naprawdę odmawiać swoje modlitwy, wtenczas nabierze również właściwego sensu porównanie: „umieć coś jak pacierz”.

Poezje Jerzego Wolкера

Przeład i omówienie: Maria Petry

Ze soboty na niedziele

(Ze soboty na nedeli)

W nocy, ze soboty na niedziele
plac zachłyśnie się weselem.
Rozbici pijanice
wracają do domów sami, sami
rozmawiają z latarniami
o tygodniowej robocie.
Wykrzykują twarde piosnki
o szczęściu i o miłości,
a ich śpiewki z kamienia ciosane
rozbijają okna szklane.

W dzień wypłaty
pieniądz ma, kto niebogaty.
Księżyc — jak biała panna się znaczy,
hej, upili się życiem i niepijacy!
Zapili je rumem, śliwownicą,
zapili czystą — wzmocnioną,
jak chorobę żołądkową,
albo miłość zawiedzioną.

W nocy, od soboty do niedzieli
rozbici ludzie bardzo posmutnieli.
Dziś widzą wszystko troiście,
ale ich to nie cieszy,
bowiem wszystko trzykroć cięższe.

Wówczas — w takich smutnych dobach
zjawia im się Pan Bóg w trzech osobach:
w imieniu Ojca — rzecze im: Synu!
w imieniu Syna — rzecze im: Bracie!
w imieniu Ducha Świętego gładzi ich ciepło po ciele,
szepcząc: Jeszcze dziś, jeszcze dziś rano
będziecie mieć niedzielę.

Pokora

(Pokora)

Stanę się mniejszy i jeszcze mniejszy
aż będę najmniejszy na całym świecie.
Rankiem, na łące, w lecie
po kwiat'ek sięgnę najmniejszy.
Obejmę się z nim i zaszeptam:
„Chłopczyńo bosy!
Niebo o ciebie dłoń wsparło
kropelką rosy,
by zbliżnitniale — nie spadło“.

JERZY WOLKER (1900 — 1924) był jednym z czołowych przedstawicieli tzw. „proletariackiej poezji czeskiej”. Swą działalnością literacką i publicystyczną wywarł wielki wpływ na poetycką twórczość powojennej generacji swego narodu.

Zadebiutował w r. 1921 tomikiem wierszy „Gość w dom” (Host do domu), w których od razu przejawiał swe zainteresowania społeczne, franciszkańską niemal pokorę i umiłowanie wszystkich rzeczy, optymizm wobec otaczającej go rzeczywistości, — w zakresie zaś formy: bezwzględny autentyzm i szczerłość wypowiedzi, odrębną symbolikę religijną, pełne wdzięcznych niespodzianek obrazowanie i nowoczesną już technikę wyrazową.

W r. 1922 — *Wolker staje się duchowym przywódcą „Dziwięćsił”, grupy komunizujących poetów. Po pewnym czasie, zniechęcony nieproduktywnym układaniem wciąż nowych a nierealnych programów i frazeologią zespołu, zaczyna coraz krytyczniej oceniać jej działalność, zwłaszcza, iż kancowosc gloszonych przez „Dziwięćsił” haseł, z punktu widzenia poważnie pojętej estetyki była nie do przyjęcia dla niego, jako poety. Na krótko przed śmiercią Wolker usuwa się zupełnie z zespołu, któremu ongiś przewodził.

W tym okresie czasu (oprócz dużej liczby prac publicystycznych i nowel) wydaje nowy tom poezji p.t. „Ciężka Godzina” (Težka Hodina), tom ballad i dramatu „Najwyższa Ofiara”. W dziejach tych dochodzi w całej pełni do głosu charakterystyczna dla poety problematyka społeczna: wołanie o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych, chęć zapobieżenia nędzy i nieszczęściom, a wreszcie mimo wyraźny już pesymizm — jakaś słodka słowiańska dobroć, seraficka wprost miłość ludzi i świata.

Niestety, Wolker nie osiąga pełni swego rozwoju poetyckiego. Zimą, r. 1924-go umiera na gruźlicę w 24-ym roku życia. Na miesiąc przed śmiercią pisze sobie rzewne epitafium:

*) p. tłum. „Seraficki poeta Czech powojennych”, artykuł w dwutygodniku polit. literackim „W Drodze” Nr 7, Jerozolima, 1943.

Zebracy

(Zebraci)

Raz — Pan Bóg przyszedł do mnie,
z torbą żebracza, nagi do połowy.
Usnął gdzieś w sieni,
niosło od niego zapachem pól czerwcowych.
Potem — stanął u progu
i prosił.

A wtedy miałem
wiele złych spraw, które tamowały oddech:
czarne ubranie, sztywny kołnierzyk i rząd
w skórę oprawionych ksiązek.
A — żem był syty
i nie mogłem więcej jeść, ni pić,
zastanawiałem się dostojnie,
czy lepiej jest nie żyć, czy żyć.

Nic-em mu nie dał,
zamkniętą miałem rękę,
tylko się zawstydzilem,
gdy jego oczy modre jak nieboskłon
nagle zoczyłem.

Pan Bóg odszedł —
drzwi zostały otwarte.
Te oczy mnie wywabily, bez kołnierzyka, bez ksiąg, bez ech—
na drogę mi dały torbę żebracza i pusty chłopięcy śmiech,
w węzełek — wiele smutku, przygód, związanych w szmatce
i srebrem nabrzmiałą myśl, srebrne wspomnienie o matce.

Chodzę teraz i Boga wypatruję po mieście,
wiem, że nagi, z torbą, błądzi po miejskiej roli,
wiem, że któregoś dnia spotkam się z nim nareszcie
i już mnie to nie zaboli,
bo już nie mam przy sobie żadnych rzeczy złych.

Weźmie mnie z sobą. Staniemy obaj gdzieś u naroży
z czapką podartą w rękę i słońcem nad głową.

O miłość prosimy ludzie boży —
— otwórzcie serca!

Wieczór

(Vecer)

Opuszczone dziewczę może płakać do woli,
ale opuszczony chłopiec nigdy.
Niewypłakana boleść wieczorem najwięcej boli i miłość,
gdy siedem gór legnie ciężko między niemi,
siedem gór, siedem krzesanic z twardych kamieni.

Mam dwa małe okna
i mam dwoje wielkich oczu,
ale nie mam żadnego pisanía,
co by na stół mi spłynęło w półmroku
podobne białym, lekkim obłokom
i rzekło:
Ludzie się miłują
człowiecze!

Górskie róże

(Horské ruže)

„Dla kogo kwitniecie górskie róże po mojej stronie
Dla kogo gubicie uśmiechy, dla kogo wonie,
dla kogo oddychacie,
za kim się do późnej nocy rozglądacie
oczyma stęsknionej panny,
niecałowane, niezcięte, nierozdane?”

Nie kwitniemy wonno — a bezpłonne.
U nas już wprzódy, wszystko rozdzielono,
u nas życie rośnie w nieustanną dań.
Kwitniemy dla siebie.

Rośniemy cichutko wonią w podniebie.
Kwitniemy radościom — cichym jak smutek,
kwitniemy boleściom — słodkim jak uśmiech.
Śpiewamy nocy — i zawsze ktoś nas słyszy.

A gdy się wszystko zciemni i uciszy,
dajemy się wilom, księżycowi, rzekom,
dobrym i przyjacielskim rękom —
Rośniemy, kwitniemy, dojrzewamy
dla ostatniego, szczęśliwego „ach”,
którym by wiatr nas dotknął, ciepło osnuł
i po łąkach wieczorem rozniósł i rozesuł.

„Tu leży Jerzy Wolker, poeta, który umiłował świat
i który z odwagą o jego sprawiedliwość się bił.
Lecz zanim w serce do wałki nabrał sił,
zmarł młodo, w wieku dwudziestu czterech lat.“

Zasługi Wolкера, jako wybitnego liryka na polu literatury czeskiej są ogromne. Wzbogacił jej treść przez wprowadzenie problematyki społecznej, jako integralnego a głęboko poetyckiego przeżycia. Był zresztą w tym wypadku kontynuatorem społecznego liryzmu czeskiego, jaki zapoczątkowali: Sabina, Havliczek, Nemcova, Neruda, Svatopluk Czech, Vrchlicki, Machar, Bezrucz, Sova i Ottokar Brzezina — lecz jakże oryginalnym, jak głęboko chrześcijańskim i jak wysokiej klasy poetą. Problematyka ta nie obniża artystyzmu jego utworów, nie jest nigdy propagandą tanich haseł, nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek tendencyjnością.

Wolker stworzył też w literaturze czeskiej nowy styl poetycki, wyrażający się w wielkiej prostocie języka, w plastyce i nieoczekiwaności porównań, w pełnym wdzięku obrazowaniu. Rozwój i narastanie tematu odbywa się u niego drogą kojarzenia asocjacji, których treść pozornie chaotyczna rozrywa obowiązującą dotychczas, klasyczną formę czeskich wierszy. Asocjacje te łączą się w jeden obraz, czy myśl przy pomocy właściwego Wolkerowi wewnętrznego rytmu, dla którego wymy i rytm zgłoskowy są tylko zewnętrznym wyrazem.

Wolker rewolucjonizuje w ten sposób poezję czeską, wprowadzając ją w zakres osiągnięć formalnych na tory odkryć ówczesnej poezji europejskiej.

Wreszcie, czego nie doceniają sami Czesi w poezji Wolкера — dąga mocny prąd dziwnych, metafizycznych wzruszeń: najprawdziwsza, najczystsza poezja. Wpleciona w muzykę jej słowa, dźwięczy religijna symbolika Wolкера rezonansem zdań, wypowiedzianych niezmiernie dawno: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali... Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugiemu. (Jan, 31, 34—35).

W świetle... Eugeniusz Pauksza

NOWY ROK

Ostatnie dni roku ubiegłego nie należały w życiu innych narodów do najspokojniejszych. Były jednak nie wątpliwie bardzo istotne.

W Iranie wybuchł następny z kolei kryzys rządowy, określany przez prasę rosyjską, jako rezultat antyradzieckiej polityki dotychczasowego premiera Ghavama es Sultaneha. Ghavama musiał podać się do dymisji i zastąpiony został przez jeszcze bardziej anty-radziecko zorientowanego polityka — Hakimiego, uważanego za nieprzejednanego wroga ZSRR. Jednocześnie rząd USA złożył w sekretariacie ONZ tekst układu podpisanego w październiku ub. r. w Teheranie między Iranem a USA, w myśl którego amerykańska misja wojskowa „dopomocze w przeprowadzeniu reorganizacji armii irańskiej”.

W tym samym okresie w noc wigilijną w Grecji ogłoszono „demokratyczny rząd wolnej Grecji”, na którego czele stanął głównodowodzący armią demokratyczną — gen. Marikos. Deklaracja tego drugiego rządu greckiego postuluje walkę aż do zwycięstwa z obcymi imperialistami mieszącymi się w sprawy Grecji, oraz z rządem greckim; zapowiada zwołanie Zgromadzenia Narodowego, natychmiast jak stanie się to tylko możliwe, — jako jedynego suwerennego organu reprezentującego naród.

We Francji rozwijają się dalej konsekwencje niedawnego strajku. Od CGT oderwała się grupa działaczy i pewna ilość związków zawodowych, która pod przewodnictwem dawnego sekretarza CGT oraz sekretarza Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych Leona Jouhaux utworzyła organizację zawodową „Force Ouvriere”. Grupa ta zarzuca CGT, iż prowadzenie akcji strajkowej nie leżało w interesie francuskiej klasy pracującej. Parlament uchwalil plan anty-inflacyjny ministra skarbu Mayera, przeciwno któremu opowiedzieli się komuniści, uważając iż godzi on w interesy tym razem nie robotników, ale przede wszystkim chłopów, kupców i przedstawicieli wolnych zawodów. „Force Ouvriere” dąży do stworzenia nowej centrali związkowej z grup rozłamowych z CGT oraz lewicy chrześcijańskich związków zawodowych. W armii francuskiej wydano zakaz rozpowszechniania wśród żołnierzy tygodników i dzienników francuskiej partii komunistycznej z „L'Humanite” na czele.

23 grudnia prezydent Truman podpisał ustawę o tak zwanej natychmiastowej pomocy dla Europy i Chin. Francja, Włochy i Austria otrzymać mają 522 miliony dolarów, Chiny — 18 milionów. Rząd USA projektował wydatkowanie na cele tej pomocy 597 milionów dol. Kongres zmniejszył tę sumę do 540 milionów. Również Kongres przejawia tendencje do dalszego katarycznego ograniczenia rozmiarów tak zwanego „planu Marshalla”, zarówno w kwocie generalnej, jak terminach udzielenia pomocy (z lat czterech na jeden rok) i w jej warunkach.

„Izwestie” oraz radio moskiewskie „przypuściły jeden z najgwałtowniejszych ataków przeciw polityce amerykańskich władz okupacyjnych w ich strefie w Niemczech. „Izwestie” twierdzą, że nowoorganizowana policja przemysłowa rekrutuje się z byłych SS-manów, uzbrojonych, wyekwipowanych i działających na podstawie instrukcji podpisanej przez zarządcę wojskowego USA w Niemczech — gen. Claya.

Na tle tych wszystkich — tak niewesołych wiadomości — donośnym i optymistycznym echem odezwała się wieść, o podpisaniu w dn. 27 grudnia wieczorem anglo-radzieckiego porozumienia handlowego. Jest to sfinalizowanie rozmów handlowych przerwanych w lecie 47, a podjętych na nowo przed niewielu tygodniami.

Pierwsze tłumaczenie z czeskiego

Normalne to, już niestety w Polsce zjawisko, że przedtem zawsze się dużo mówi, a dopiero potem robi, i to o wiele mniej. Podobnie przedstawiała się sprawa nawiązania bliższych kontaktów kulturalnych z naszym czeskim sąsiadem. Były polskie wycieczki w Czechach i czeskie w Polsce. Było bardzo wiele słów uroczyste deklamowanych o konieczności zacieśnienia wzajemnych więzi kulturalnych, o wymianie twórczości artystycznej, współpracy w pismach, o tłumaczeniu książek i t. p. Czesi przejęli się tym równie szczerze jak my, ale z tego co słycać, z bardziej właściwą sobie konsekwencją. Polskich tłumaczy w Czechach ukazało się już sporo, ukazać się ma wkrótce jeszcze więcej. O polskim malarstwie, rzeźbie, muzyce, wie już cośkolwiek każdy przeciętny Czech. Nazwiska naszych mistrzów stają się tam coraz bardziej popularne.

A u nas? Owszem, chęci były i są najlepsze i szczerze. Szwankuje, niestety, jak zawsze, wykonanie. Pojawiało się kilka numerów pism literackich, wypełnionych przez Czechów, trochę reprodukcji plastyki czeskiej, rozszerzył się zasięg i popularność towarzystw przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Poza tym w dziedzinie kulturalnej bardzo a bardzo nie wiele. (Szczęśliwie, że na polu naukowym (na pierwszym miejscu Instytut Zachodni) i gospodarczym (np. obrady w Szczecinie) kontakty polsko-czeskie rozwijają się pomyślnie i szeroko.)

Jedną z zasadniczych bolączek był brak tłumaczeń książkowych z czeskiego. A nie tak nie zaznajamia i nie zbliża narodów w skali ogólnonarodowej jak znajomość wzajemna rodzimiej literatury. Łatwiej jest wtedy poznać i zrozumieć obcą psychikę narodową, obcy stosunek do życia i t. p. Mimo wielokrotnych, zresztą bliżej na ogół niesprecyzowanych zapowiedzi, utworów literatury czeskiej w polskim tłumaczeniu nie można było się doczekać.

Tym milszą niespodzianką sprawił czytelnikowi, jak zawsze ruchliwy i przedsiębiorczy katowicki „Awir”, prawie jednocześnie rzucając na rynek księgarski trzy różne tematyki, doskonale przyswojone na język polski przez Zdzisława Hierowskiego, tłumaczenia z czeskiego. Niezależnie, ta sama firma zapowiada w najbliższym czasie wydanie jeszcze następnych dwu pozycji. Chociaż skromny, jest to już jednak konkretny zadałek w dziedzinie przyswajania na język polski oryginalnej literatury czeskiej.

Najbliższą, typowo rozrywkową (co bynajmniej zresztą nie umniejsza jej obiektywnej wartości) książką jest humorystyczna, sportowa praca Eduarda Bassa „Klub jedenastu”¹⁾. Oryginalna koncepcja biednego wieśniaka czeskiego zorganizowania własnej drużyny piłki nożnej, w skład której wchodziłoby jego jedenastu synów, jest początkiem wielu nie tylko wspaniałych sukcesów, ale i głębokiej rozterki wewnętrznej późniejszych mistrzów Europy. Ten bowiem tytuł uzyskują oni po szeregu niesłychanych zwycięstw przedtem we własnym kraju, a potem kolejno w stolicach prawie wszystkich państw europejskich. W dyskretnym ale wyraźnym w swym sensie moralnym formie stawia tu autor zasadniczy problem zawodnictwa i amatorstwa w sporcie. Oto grupa młodzieży szkolnej nie chce grać z jedenastką Kłapaczów. Odmowa w motywach brzmi — bo wy jesteście za-

wodowcami. Od tego momentu znika entuzjazm mistrzów z Dolnych Bukwiczek. Grają, bo tak chce ich ojciec, który lokuje uzyskane z gry synów pieniądze w budowę domków, osobno dla każdego z nich na przyszłość. Przychodzi jednak moment, gdy jedenastka odmawia ojcu dalszego występowania na boiskach. Plac przy domu gry zostaje zaorany. Jeszcze raz jednak wyjdą na murawę Kłapacz — na meczu o mistrzostwo świata w Sydney. Powrót z Ameryki okrętem kończy się niespodziewanymi przygodami i jeszcze jednym meczem — z ludożercami.

To byłyby najogólniejsze momenty treści przemiłej książki Bassa. Treści narracyjnej. O wiele natomiast głębsza jest treść moralna. W dyskretny sposób, niby mimochodem, autor wskazuje na istotę moralną sportu, tak często dziś zapoznaną. Uczy szlachetności, szacunku dla przeciwnika, traktowania sportu jako odpoczynku i utrzymania zdrowia, nie zaś brutalności, karierowiczostwa i tym podobnych metod i pojęć, tak popularnych w dzisiejszym obliczu sportu. Warto byłoby m. in. polecić tę książkę do przeczytania i przemyślenia także oślawionym naszym „kibicom” z Sosnowca.

Ciekawa jest koncepcja autora w rysowaniu postaci. Bohaterów w powieści jest właściwie dwóch — ojciec Kłapacz i indywidualność zbiorowa — jedenastka jego synów. O ile starego ojca i trenera zarazem poznajemy dokładnie w świetnie zarysowanych, mistrzowskich określeniach słownych, niezależnie od epizodów sytuacyjnych, to żaden z synów nie wybija się ponad innych. Dopiero zaś razem tworzą wyraźną, zdecydowaną indywidualność w swych rysach charakteru, spojrzeniu na świat itp. Styl swobodny b. lekki, o dużym zacięciu i wyrobieniu. Całość stanowi wyjątkowo przyjemną lekturę wycieczkową, nie tylko dla młodzieży ale i dla starszych, nie tylko dla sportowców, ale i dla każdego zjadacza codziennego chleba.

Następną pozycją, udostępnioną polskim czytelnikom przez tłumaczenie Zdzisława Hierowskiego jest popularna na Zachodzie, pisana w czasie wojny w Ameryce książka uchodząca z Czech w marcu 1939 r. — *Adolf Hoffmeistera pt. „Turysta mimo woli”*²⁾. Poniekąd już sam tytuł wskazuje, co słynny pisarz i karykaturzysta czeski pragnął w swej pracy przedstawić. Są to dzieje tułace nie tylko jednego bohatera powieści, ale w nim usymbolizowanej całej rzeszy przymusowych uciekinierów z własnej ojczyzny po zajęciu jej przez wojska niemieckie. Uchodzili przed celą więzienną, obozami koncentracyjnymi, i jakże często śmiercią z rąk hitlerowskich.

W pogodny acz głęboki sposób rysuje nam Hoffmeister dzieje jednego z takich uciekinierów, pisarza i rysownika (podobnie jak sam autor) Jana Prokopa. Poprzez Francję, w przededniu zajęcia przez wojska hitlerowskie, potem Marokko francuskie, obok zajętego właśnie przez Hiszpanię, Tangeru i wreszcie przez Lizbonę — po długich miesiącach ciężkich przejść udaje się bohaterowi przedostać do Ameryki. Nie miałoby celu wylizanie tu więzień, obozów, posterunków milicyjnych i żandarmerii, które gorliwie interesują się obcokrajowcami, tłumnie przewalającymi się przez kraje Europy. Wszelako to aż nazbyt wyraźnie świadczy o atmosferze i stosunkach w poszczególnych krajach, gdzie wroga szuka się nie tam, gdzie jest rze-

czywiście, ale stwarza się fikcję niebezpieczeństwa, grożącego ze strony tych, którzy sami są zagrożeni najbardziej i właśnie, na których pomocy mogłoby się oprzeć w zmaganiach z Niemcami.

Próbowałem po przeczytaniu książki Hoffmeistera uzmysłwić sobie, jakby wyglądały te same dzieje uciekiniera, gdyby wyszły z pod pióra polskiego pisarza. Wiem na pewno, że byłoby w niej o wiele mniej pogody i humoru, pełno natomiast żalów, utyskiwania, czarnożalobnych perspektyw i pesymizmu. Nie dziwi mnie, gdy czytamy w prospektach wydawnictwa, że książka Hoffmeistera zyskała duży sukces w Ameryce i w krajach zachodniej Europy. Wątpię czy tyłu wydawnictwami oraz tłumaczeniami na obce języki mogłaby się pochwalić praca polska na ten sam temat. Bynajmniej nie pragnę tutaj sugerować wyższości literatury czeskiej nad polską — zwracam tylko uwagę na specyficzne cechy czeskiej psychiki narodowej, umiejscawiając najcięższe przejścia znoś z pogardą, z pełnią wiary w lepsze jutro, a bez tego romantycznego cierpiętnictwa, które tak weszło w nasze żyły, że rzadkością jest utwór podobny atmosferą całości do omanowanej tu pracy Czecha. Tego optymizmu życiowego należałoby się nam uczyć od naszych południowych słowiańskich sąsiadów.

Trzecim przyswojeniem jest niewątpliwie wyższa w swej wartości literackiej od dwu pozostałych, książka *Jana Drdy — Miasteczko na dłoni*³⁾

Miałem przyjemność poznać autora w czasie jego pobytu w Polsce wcześniej niż przeczytając wspaniałą historię miasteczka Rukapań. Trzeba to przyznać, że autor i jego książka (zaliczając się do najpoczytniejszych w Czechach powieści współczesnych — 6 wydań!) — pasują do siebie doskonale.

Trudno byłoby zaklasyfikować książkę Drdy w jakiś ściślejszych ramach. W pięciu częściach — palcach swoim własnym, odrębnym życiem, zdala na pozór od wydarzeń w świecie i kraju. Jednak więź ta szersza istnieje, choćby przez to, że z takich Rukapani składa się cały kraj, i że ich mieszkańcy, to naród czeski. Niekoniecznie oczywiście ma być wszędzie taki sam burmistrz Burssek, filozofujący na temat doczesności tego świata z aniołami, ani górnik i kłusownik w jednej osobie Maciej Rzezac czy inni, ale ta sama postawa psychiczna, ten sam stosunek do życia, ta sama pogoda i niefrasobliwość przy jednoczesnej powadze i praktyczności, cechuje całe Czechy. Sądzę, że nie omylił się, stwierdzając, że Rukapań można w pewnym sensie uważać za przekrój społeczności czeskiej z wszystkimi jej wadami i zaletami.

Oryginalna i miła jest koncepcja wprowadzająca czytelnika w wir spraw małego „miasteczka na dłoni”. „Położył Pan swą łaskawą prawicę na głębokie książęce knieje i zaznaczył Swymi boskimi palcami pięć dolin, którymi w pięciu kierunkach rozbiegnie się Rukapań. Rukapań jest bowiem kształtem swym podobna do dłoni prawej ręki, tak jak jej znak odcisnął na początku Pan położywszy ją na tym skrawku ziemi”.

Każda z pięciu w ten sposób powstałych dolin zmieniła się w dzielnicę miasteczka, prowadzącą odrębny żywot i trudniącą zamieszkałych w niej ludzi odrębną pracą. I tak jedna dzielnica dawała chleb — o-

siedli tam gospodarze, druga — fliśaków, bo tą doliną płynęła rzeka, trzecia — producentów wina, czwarta, największa, bo ogarniająca oprócz palca Bożego i cały odcisk Jego łoni — dzielnica kupców, urzędów itp., piąta wreszcie — dzielnica górników obok swej kopalni srebra.

Dopiero na tym tle rysuje autor swą opowieść. Słowo — rysuje — najbardziej odpowiada może jako określenie stylu książki. Bo rzeczywiście wszystko — charakterystyka osob, ich namiętności i nadzieje, wszelkie wydarzenia w miasteczku — uplastyczniają się czytelnikowi jakby jakiś wielki, misterny rysunek. Drda jest, można by rzec — plastykiem w literaturze.

Całość wydarzeń ma szeroki zakres — od miłości Wacława Trantynca do biednej dziewczyny fliśackiej chaty, od fujarkowania obłąkanego Janka Pójdziesz, od wypadku w kopalni aż po osobliwe dzieje burmistrza Buczka, aż po, będący epilogiem książki — pobór do wojska młodzieży miasteczka i poród Józki Rzezacowej. Wprowadzenie takiej różnorodności akcji i charakteru umożliwiła autorowi właśnie początkowa koncepcja wyjaśnienia pochodzenia miasteczka Rukapań, jakeśmy to zacytowali powyżej.

Jako ogólne spostrzeżenie nad książką Drdy chciałbym dodać to jeszcze, że mało chyba jakie przemówienia, szkice naukowe i studia pozwolą nam poznać zasadnicze rysy psychiki czeskiej — jak właśnie lektura „Miasteczka na dłoni” — książki z ducha i treści typowo czeskiej.

Niesposób byłoby zakończyć omówienie pierwszych, doskonałych zresztą, przekładów z czeskiego bez podkreślenia kilku spostrzeżeń natury ogólnej, nasuwających się przy lekturze.

Więc przede wszystkim — atmosfera wszystkich trzech książek, a sądząc z kilku przedwojennych tłumaczeń z czeskiego, i większość utworów literatury czeskiej — nosi na sobie znamie pogody, optymizmu i tego niefrasobliwego humoru, który dopomaga znośić łatwiej najbardziej przykre i denerwujące sytuacje życiowe. Ten humor i pogodny spórzenie na świat przyczyniają się, że lektura książek czeskich jest wycieczkowa w pełnym znaczeniu tego słowa, a jednocześnie wcale nie grzeszy tanią sensacją, czy czymś podobnym. Przeciwnie, porusza ona nieraz i to w głęboki sposób, najistotniejsze współczesne zagadnienia polityczne i społeczne (Hoffmeister) jak też problem etyki (Bass) czy odwieczne konflikty ludzkich namiętności (Drda). Przydałoby się naszej rodzimej literaturze kilka chociażby takich książek.

Przekład Zdzisława Hierowskiego doskonały. Niesposób byłoby przeciw niemu wysunąć jakiegokolwiek zarzutu. Ten jeden chyba, że szkoda, iż dotąd trzy tylko utwory literatury czeskiej przyswoił polskiemu czytelnikowi. Miejmy jednak nadzieję, a słycać coś o tym, że wkrótce ukazą się dalsze tomy z pod pióra tego tłumacza.

Eugeniusz Pauksza

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNECKIEGO

Ofiary można przysłać na konto P.K.O. — Kraków — IV — 477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego”.

¹⁾ Eduard Bass — „Klub jedenastu”. Wydawnictwo „Awir”, Katowice 1947; tłumaczenie Zdzisława Hierowskiego; str. 138.

²⁾ Adolf Hoffmeister — „Turysta mimo woli” — Wydawnictwo „Awir” — Katowice. Tłumaczenie Zdzisława Hierowskiego; 1947 r.; str. 157.

³⁾ Jan Drda — „Miasteczko na dłoni” — Wydawnictwo „Awir” — Katowice — przekład Zdzisława Hierowskiego; 1947 r.; str. 287.

Przegląd prasy świątecznej

Świąteczna prasa literacka przyniosła kilka pozycji zasługujących na pilną uwagę. Do rządu takich wypowiedzi zaliczyć należy artykuł ks. Biskupa Choromańskiego p. t. „Pax” zamieszczony w „Tygodniku Warszawskim”. Wymieniając warunki konieczne dla ugruntowania rzeczywistego pokoju autor stwierdza m. in.:

„Tak jest — musi zapanować pokój w duszy człowieka i taki pokój jest właśnie misją Kościoła. Kościół na tej płaszczyźnie doskonale współdziała z Państwem, w którego przecież interesie leży, by pokój panował w społeczeństwie.

Kościół nie dąży do supremacji nad Państwem i uważa taki stosunek między nimi za szkodliwy; Kościół odrzuca supremację Państwa nad Kościołem, jako krzywdzącą i niesprawiedliwą; Kościół nie dąży i nie chce walki z Państwem; Kościół zawsze dążył i pragnie korzystnej współpracy z Państwem.

Tak było zawsze w dziejach Kościoła w Polsce i takie jest stanowisko Kościoła dziś, kiedy chodzi o odbudowę Państwa Polskiego.

Dał temu wyraz Episkopat Polski w „Katolickich postulatach konstytucyjnych” złożonych w swoim czasie (dn. 26 lutego 1947 r.) Rządowi Polskiemu — „...zadania Kościoła — czytamy w nim — leżą poza polityką i mimo, że Kościół nie utożsamia się z żadnym kierunkiem politycznym, Państwo odnosi z działalności Kościoła wielkie korzyści pośrednie, zwłaszcza w dziedzinie moralności prywatnej i publicznej. Korzyści te są tym wydatniejsze, im zgodniejsza jest współpraca obu władz. Dlatego tradycyjna linia polityki polskiej unikała konfliktów z Kościołem i dążyła do pokojowego rozwiązywania tych spraw, które są wspólne, dotyczące zarówno interesów państwowych jak i kościelnych.”

Dla zabezpieczenia pokoju w Polsce i w świecie całym nie masz innej drogi.

Papież Pius XI w swojej wielkopomnej encyklice „O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży” (z dn. 31 grudnia 1929 r.) przytacza fragment z książki Kardynała Sylwiusza Antoniano, ucznia św. Filipa Nereusza, a sekretarza św. Karola Boromeusza, który brzmi: „Im ściślej rząd świecki współdziała z duchownym, pomaga mu i popiera go, tym bardziej przyczynia się do zachowania państwa. Kierownik dusz, który pracuje nad tym, żeby przy pomocy swej powagi i środków duchownych, zgodnie z celem swego posłannictwa, wyrobić dobrego chrześcijanina, czyni z niego równocześnie, siłą konsekwencji, także dobrego obywatela, czyli takiego, jakim powinien być jako obywatel państwa. A tak się dzieje dlatego, ponieważ w Świętym Kościele Rzymsko-Katolickim, tym Państwie Bożym, dobry obywatel i ucziwy człowiek, to jedno i to samo. To też grubo się mylą ci, co rozdzielają rzeczy tak ściśle ze sobą związane, i sądzą, że będą mogli mieć dobrych obywateli, jeżeli będą wydawać inne prawa, i kroczyć innymi drogami aniżeli te, które prowadzą do wychowania dobrych chrześcijan.”

W historii nie ma dziś miejsca na zagadnienia lokalne. Problem Polski traktowany w oderwaniu od całokształtu przemian Europy i świata, przestaje być czymś rzeczywistym. Wyodrębnić go już obecnie niesposób. Obowiązują nas myślenie

nie organiczne. Zmierzamy do scalenia świata. Z chwilą gdy powstaną warunki dla swobodnej wymiany wartości towarów i pojęć — wyrówna się poziom cywilizacji. Istotne jest tylko pytanie: Co trzeba zrobić żeby nasza produkcja duchowa i materialna stała się atrakcyjna i pociągająca dla innych narodów. Dziś idzie o podbój duchowy. Maszyny i urządzenia techniczne zawsze wytwarza się łatwiej niż nowe style życia oparte na wieczystych wzorach.

Biologicznie mimo wszystko dajemy sobie radę lepiej od wielu krajów zachodnich. Nie ma co białad nad Polską. Pracujący wydajnie Polak odżywia się lepiej niż przeciętny Francuz, Włoch, Niemiec, czy Anglik. Nie brak nam ryb, ani drobiu. Zacofane kraje rolnicze okazywały się w rezultacie oazami na kontynencie zżartym przez katastrofę wojenną. Faktem jest, że państwa wysoko uprzemysłowane bez porównania ciężiej przechodzą dzisiejsze próby ogniowe. Nie znaczy to aby wyrzekać się techniki i wielbić prymityw w imię pełnego talerza. Główny akcent musi paść gdzie indziej. Trzeba w sobie wyrobić poczucie spotęgowanej witalności: wiedzieć że posiadamy więcej środków niezbędnych do życia potrzebnych niż niejedno niegdyś zasobne Imperium. W epoce żywiołowego rozkładu potęg kolonialnych, jedynie owoc ziemi własnej daje rzeczywistą gwarancję przetrwania. Wszelkiego rodzaju pożyczki i dary działają zawsze na podobieństwo zastrzyków przedśmiertnych. Przychoǳą przed końcem w momencie gdy samodzielność narodu upada.

Kontynent nasz będący już dzisiaj na emeryturze nie zdola porazić Polaków swą filozofią rozpacz. Znamy ją nie od dziś. Mamy za sobą 150 lat treningu katastroficznego. To bardzo dobra zaprawa na czasy Sartra i Heideggera. Otrząskani z psychologią klasyczną wykazujemy wobec niej większą odporność, niż narody dotąd pieszczone przez los, przywykłe do korzystania z niewolniczego wysiłku kolonii. Nasza technika znoszenia przeciwności sprawia, że wolni jesteśmy od neuraastenii obozwardniających kraje kulturalnie bardziej wyrafinowane, podlegające sugestiom schyłkowym.

Jako specjaliści od sytuacji apokaliptycznych z uporem i żarliwością pytamy: Czy katolicyzm przepuszczony przez filtr paradoksalnej psychologii polskiej owładnie wyobraźnią świata?

Czy ocalimy cywilizację w nas samych? Oto jest wielki niepokój, oto dylemat, który nas pożera. Nie ma od niego ucieczki w humor, zabawę i śmiech. Czuję to dobrze Kisiel doskonale definiujący ów stan intelektualnego wrzenia właściwy dla naszych środowisk. Oto jego słowa:

„Noc bezsenna, noc, gdy wszystkie przeszłe i przyszłe wichry światowe gwizdają nad łóżkiem, gdy wszystkie zmarłe dawno i nienarodzone jeszcze myśli biorą się za ręce i tańczą, tańczą po głowie aż do rana, taka noc równa się wieczności — wstaje po niej człowiek jakby wyszedł z otchłani i ze zdumieniem patrzy na innych, którzy żyją jak gdyby nigdy nic, którzy się śmieją. Śmieją się? — prawda — przed chwilą polecał im humor; istotnie Polacy dzisiaj, po Drugiej Wojnie Światowej, zmienili się bardzo: zamiast ginącej w wicherze skrzyplki chocholej brzmią już wesołe, rubaszne śmiechy i śpiewy — ale to nie to — nie o to chodziło. Ten humor jest znowu zбочeniem w

złą, inną stronę — to jest humor — narkotyk, humor złudzeń czy humor zapomnienia. Nie o takim myślałem; myślałem o humorze twórczym i świadomym. Widzieć wszystko, tak jak było i jak jest, a także jak może być; rozumieć wszystko — nawet to najprzykrzejsze, najboleśniejsze dla własnej ambicji i dumy; nie wzdragać się przed niczym, nawet przed najstraszniejszym, najbardziej upiornym i przerażającym — i, przeszedłszy przez to wszystko, zacerpnąć ze swojego wnętrza kroplę eliksiru cudownego, eliksiru, który ocali zwątpiałą, starganą duszę i który da nam ten wtórny, drugi, tym razem prawdziwy — humor. Tak! dopiero humor jest odwagą, godnością, spokojem i tężyzną — humor, który nie odwraca oczu od rzeczy najstraszniejszych, który potrafi przeprowadzić cało przez otchłan upokorzeń i wyrzeczeń i przez czyszcenie samokrytyki. Takiego humoru — humoru świadomego Wam życzę, nie rubasznego rechotu, który rozbrzmiewa dziś w teatrach całej Polski na najdramatyczniejszych sztukach, często ni w pięć ni w dziewięć — bo ludzie nie znoszą obecnie ciśnienia żadnego — prawdziwego czy fałszywego — patosu. Ten śmiech to narkotyczne otumanienie — budźmy ich, popsujmy im humor: ludzie! nie cieszcicie się, nie macie z czego, spokój nie ma, spokój jest złudą, świat jest groźny, niebezpieczny, straszny! Ludzie, nie śpijcie po nocach, myślcie, aż wam głowa pęknie, myślcie o wszystkim, myślcie o rzeczach najohydniejszych i najdziwniejszych, myślcie o ruinach, klęskach, niepowodzeniach, obelgach, o nieszczęśliwych wypadkach i nieprzewidywanych zbrodniach, o wichrach lodowatych ze wszystkich stron świata, o najgorszym co było, jest i będzie, co mogło być i może być. A jeśli przewedrujecie całe piekło myśli, gdy nie straszne wam będzie żadne już przypuszczenie, gdy nie zlekniecie się obłędu, zaglądnijcie w oczy, gdy bezsenna noc przestanie być dla Was groźbą — wtedy dopiero wasz dobry humor stanie się ważki, stanie się mocny, twórczy i dobry”.

Dobrze powie czytelnik. Ale to jeszcze nie wszystko. Chciałbym wiedzieć jakie ciekawe pozycje zawiera świąteczna lewicowa prasa literacka? Czy bardzo się wysiliła? Co napisali marksiści?

Leżą przed nami „Nowiny Literackie” tygodnik Iwaszkiewicza. Artykuł wstępny E. Csato: W kręgach rzeczywistości. Jaka jest rzeczywistość? Czytajmy:

„Wybrałem się kiedyś z grupą kolegów na wódkę, taką niedobłą, groźną wódkę, która zaczyna się niewinnie od „ćwiartki” z czarną kawą, a kończy na bardzo dziwacznych wyczynach o białym świecie, gdzieś na krańcach Pragi albo w Pyrach. Z biegiem czasu część towarzystwa odpała, zostali sami najwytrwalsi i ci postanowili na zakończenie wieczoru wybrać się do lokalu, który nie jest wprawdzie knajpą, ale, którego w żadnym wypadku nie można by było nazwać domem prywatnym. Nikt nie znał adresu, więc starym warszawskim zwyczajem zaczęliśmy informować się u dorożkarzy i szoferów. Okazało się jednak, że oni również nie mają pojęcia o tego rodzaju przedsiębiorstwach, a jeden bardzo stary i chyba najdoświadczniejszy z doświadczonej, wylewał przed nami rzewne łzy: „panowie, nie ma już niczego;

wczoraj przyszedł do mnie Amerykanie, dawali mi prawdziwe dolary, a ja nie mogłem ich nigdzie zaprowadzić, bo wszystko polikwidowane”. Zrobiło mi się wówczas nawet przyjemnie, że staliśmy się tacy moralni; ale po naradzie z dorożkarzem okazało się, że uda się znaleźć „coś na ulicy”. I rzeczywiście... znaleźliśmy jakieś dwie panie, które zgodziły się zaprosić nas do siebie na wódkę. Rzecz całą uważałbym zresztą za niegodną wspomnienia, gdyby nie fakt, że na stole w ich pokoiku, mieszczącym się w jakichś okropnych ruinach, zobaczyłem „Jeziorko Bodeńskie” Dygata oraz że — jak dowiedziałem się w czasie rozmowy — jedna z naszych gospodyń w dzień pracowała na poczcie, a druga była zajęta w jakiejś stolówce. Może to się wyda komuś wstrząsające, że urzędniczki dorabiają sobie w ten sposób, ale raczej należy potraktować całą sprawę spokojnie: olbrzymia większość tych urzędniczek, to najuczciwsze na świecie kobiety, a skoro one mogą, choćby nawet z dużymi trudnościami, zorganizować jakoś swój budżet, mogłyby to zapewne uczynić i nasze ówczesne rozmówczynie. Nie mam zresztą zamiaru ferować tu jakichś wyroków konkretnych, odnoszących się do poszczególnych wypadków: bez wątpienia, w sporej rzeszy osób wykołonych, jak te kobiety czy też ów chłopak z pociągu, zawsze znajdzie się grupka ludzi, której bieda jest wynikiem nie ich własnej winy, lecz niekorzystnego zbiegu okoliczności.

Mam pisać o zagadnieniach kulturalnych, a rozpocząłem artykuł od jakichś drastycznych wypadków, z działalnością kulturalną na pewno nie wiele mających wspólnego. Wydaje mi się jednak, że opisane zdarzenia dość ostro ukazują pewne rysy naszej obecnej rzeczywistości. Rysy nieprzyjemne i niepokojące — tak, ale czyż podstawowym warunkiem powodzenia wszelkich kampanii nie jest właśnie analiza niedostatków i słabości?”

Odpierając zarzut jakoby literatura współczesna była oderwana od życia, autor zadaje pytanie:

„Jakież jest jednak to „życie”, w imieniu którego atakują nas nasi krytycy? Wydaje mi się, że w każdym razie nie chodzi im o życie, nasuwające wspomnienia takie, jak owych nieprzyjemnych dwóch scen, od których zacząłem swój artykuł. A przecież nikt chyba nie zaprzeczy, że w jakimś statystycznym rachunku faktów wesołych i niewesołych nie bardzo moglibyśmy być pewni wyraźnej przewagi zjawisk dodatnich; kto wie, może wcale nie byłoby tej przewagi? Życie przeciętne człowieka około połowy dwudziestego stulecia najeżone jest zbyt wielu trudnościami, aby w ogóle warto było brać się do tego rachunku”. W tym miejscu Sartre się kłania. Zaraz jednak następuje pseudopocieszająca konkluzja:

„Analiza, ocena i ulepszenie spraw tej kategorii zajmują się działacze społeczni i politycy. Tworzą oni programy i plany, a następnie starają się je realizować. Wyrzucają pewne fakty z naszego życia, a na ich miejsce wstawiają nowe, ich zdaniem lepsze. W politycznej hierarchii świata nie konieczne najważniejsze są te zdarzenia, które najbardziej plastycznie, najprzyjemniej, a może najdośćliwiej narzucają się oczom nieświadomego widza. Tak, jak dla dowódcy wielkiej bitwy

mogą nie być ważne olbrzymie z perspektywy szeregowca straty jego kompanii. Obecna polska rzeczywistość dla polityka, to reforma rolna, nowa organizacja przemysłu i handlu, nowe ustawy i prawa, akcja zagospodarowania Ziemi Zachodnich, prace oświatowe i kulturalne partii politycznych i KCZZ; wszystko to są sprawy, które na potoczny bieg życia naszego człowieka nie wywarły jeszcze dość wyraźnego wpływu, choć generałowie tej kampanii wiedzą już, że po pewnym czasie zmieni one zdecydowanie kształt jego życia. Orientując się, że bitwa jest wygrana, często wybiegają myślą w przyszłość, mówią o rzeczywistości przeżywaną tak, jak gdyby była to aktualna rzeczywistość naszych dni. Jest w takim postawieniu sprawy jakaś odwaga, pewność siebie, ale czasem i niepotrzebny odcień niecierpliwości. Dedukując bowiem obraz świata z najbardziej uzasadnionych przesłanek, można niekiedy wyjść w końcu poza ich konkretność; wizja nowej, wspaniałej przyszłości niekontrolowana ustawiczną konfrontacją z najbardziej drastycznymi szczegółami życiowymi, staje się z wolna czymś pustym. Ostatecznie, upajanie się tą wizją może być takim samym zacisznym schronieniem przed zgiełkiem życia, jak nasza przysłowowa — inteligentka, nie pisarska — „wiewa z kości słoniewej”.

To bardzo trafna uwaga. W jej świetle realizm w łeb bierze, a te różnice okazuje się prawie nieważna. Istnieje jako szczebel i etap pośredni. Bardzo często jest... niecenzuralna. Dlatego Żółtkiewski stanowczo powinien nawoływać nas do wizjonerstwa. Wyobraźnia planująca — oto jest termin dla niego.

Zajrzyjmy do „Odrodzenia”: Epoka wygląda tu z wierszy przedziwne i nie bez kozery dobranych. Jest Tuwim ze swoim kabaretem ideologicznym, Tuwim z Jarmarku rytmów, przedrzeźniający się z dekadencją mieszczańską, satyryczny i patetyczny na przemian. Co dał. Fragmenty z Kwiatów polskich, takie czerwone Confetti przytłakane nieświecącym zresztą motywem ze Słonimskiego. Poemat dyszy typowo kawirniarną rewolucyjnością z przed wiekowiec. Jest to właściwie spektakl dekadencji. Dziewczynki i mitologia.

Przerzucmy kilka kartek. Oto na str. 7 rozbrzmiewa: „Mała symfonia świecznikowa”. Autor: K. I. Gałczyński. Zaczyna się to akcentem alkoholowego realizmu: konsul przechodzi w kaczkę. Zato druga część (dotycząca inteligencji) to jakby przyspiew do Sartra. Etiuda egzystencjalna. Czytajmy:

„Było nudno. I wszyscy znudzeni siedzieli.

Więc zacząłem im opowiadać o bezkresnych bulwarach Brukseli.

Ze tam ciemno jest ciągle. I drzewa się ciągle trzęsą.

I pada deszcz. I człowiek idzie przed siebie bez sensu.

Ze wiele złota leży w bankach, ale cóż z tego!

Nikt się nie cieszy. I wszyscy chcieliby odejść bardzo daleko.

Na bulwarach Brukseli nie ma żadnych kolorów, tylko mokro.

Na bulwarach Brukseli jedyne wyjście to się otruć”.

Tyle — o zachodzie. Ale wschód krzyczy wymaga. Więc — pięścią! Zgorszyć ich! Rozbić inteligentkie kompleksy!

„Świecznik zakotył się. Upadł nożyk. Jeden gość się na kanapie położył. Z powodu serca. I jadt winogrono. A ja się zerwałem z krzesła. Nie kłamie!

I pięścią w szybę. I zamieć bardzo wolno weszła do salonu. Skandal. Gaffa. Koniec Sewilli. Wszyscy się najeżyli i mówili: — Dziękujemy! I:—Przepraszamy! I przewrócił się zegar szafkowy podobny do diabła z uszami krowy w chwili, gdy towarzystwo wychodziło z bramy.

A ulicą, a ulicą robotnicy ulicą szli, szli śpiewając, rażnym krokiem, a my boczkłem, a my bokiem, inteligencja dawnych dni. Oczywiście. Oczywiście. Żeśmy chcieli. Razem! Eeech... Brak kontaktu. Gorycz faktu. A w dodatku taki śnieg: Frrr! do góry. Frrr! na poprzek. Ach, serduszko! Och, niedobrze, tak jak struna: brzdak i brzdęk. A mówilem: zostać w bramie. Zamieć. proszę państwa. Zamieć.

Towarzysze, pada śnieg". To już coś jest. Tak zwana niemożność klasowa. Opóźnienie w rozwoju dziejowym. Wiedza, że trzeba... dołączyć. Poeta szuka... sposobu:

„Jak tu prawdę o Polsce powiedzieć, gdy pióro mam takie zamglone i pajęczynę w kalamarzu? I w oczach kłamliwe mgły.

Jak tu Polskę na ręce pochwytać jak żonę i unieść do gwiazd jak żonę i po prostu powiedzieć: to ty.

To ty, wolna na przekór kaniom i durniom. Mariacka Wieża, Pallas Varsavia, słońce wolności, które krety oślepią, ty roześmiana szeroko, gdy wózek z węglem podjeżdża roztrząskany Szopena fortepian.

Bo każdy twój dzień jest hymn. Nie słotny walc. Więc hymnem warczę nad twymi portami, szumie wietrzna, wiejską muzyką, a w nocy, jak krasnoludek, wsparty na piórze pilnuje twojego żelaza i cynku. I nie chcę od ciebie nic—oprócz szczęścia, że idę w szeregu.

Przechodzę. Rzucasz mi kwiat. Bądź zdrow, powiadasz. Bądź zdrowa.

O, gdybyż choć jeden mój wiersz na Polskę kiedy tak spadł, bezmienny, ale ożywczy, jak burza, burza majowa".

Z całego serca życzymy.

Na koniec — zadanie dla maturzystów: Temat wycięty z gazety. Wykazać na czym polega uderzające podobieństwo postawy Tuwima i Gałczyńskiego. Na dobrą sprawę wyjątki więcej wam o tym powiedzą niż cała ich dotychczasowa twórczość poetycka. Przy okazji zacytować radzę to, co napisał profesor Chałasiński w znakomitym szkicu p. t. „Zagadnienie historyczno-socjologiczne samowiedzy inteligencji polskiej” (Myśl Współczesna Nr 12). Czytamy tam czarno na białym: „Wszystkie prądy umysłowe i społeczne, które potężnym nurtem masowych ruchów przeorywały nowoczesną Europę u nas wiodły suchotniczy żywot kameralnych zagadnień inteligencji”.

Inteligencja zaprotestowała. Jan Kott replikował w świątecznym numerze „Kuznicy”. Oświadczył tam m. in.:

„W ten sposób cała stuletnia historia ruchów społecznych i prawd ideowych sprowadzona została do rozmowy rozbitków z dworku szlacheckiego o przeczytanych książkach francuskich, niemieckich i rosyjskich, do robaczywych ruchów wewnątrz inteligentckiego ghetta”.

Kwestia w istocie drażliwa.

Al.

Do portu nowojorskiego dopłynęłam na statku polskim. Ale tak jak na statku polskim jest i na innych statkach. Większość pasażerów to ludzie, którzy niezależnie od rodzaju z trudem zdobytych wiz — chcą w Ameryce zostać na stałe. Zacząć nowe życie, wolne od koszmarnych wspomnień „ostatniej Europy”, wolne od przerażenia i tymczasowości. Chcą się czuć ocaleni. Całą drogę w różnych językach budowali zamki na lodzie, teraz stoją wszyscy na pokładzie, przy burcie i z niepokojem i nadzieją wypatrują przez mgłę Statuty Wolności, której podniesiona w górę ręka powinna się do nich wyciągnąć. I rzeczywiście jest. Wylania się pomału dobrze znany zarys największego pomnika na świecie, ale wydaje się jakiś mniejszy, bo już wyszły z mgły olbrzymie stu piętrowe bloki, też największych na świecie koncertmów, trustów i domów handlowych. Podróżni pa trzą w tamtą stronę, w niesamowite miasto z jakiejś dekoracji teatralnej lub kina, w ciemność prostych, jednokolowych ulic, w rzędy samochodów, w ogromne kolorowe i brzydkie reklamy — posąg Wolności został z tyłu. Statek dobiega do pierśu.

Pierwszy kontakt z gospodarza mi nowego świata wypadł dość zabawnie. Po załatwieniu formalności lądowania, jak zawsze na statku długich i męczących, ogołek pasażerów ustawił się przed celnikami. Stałem za małym, starszym człowiekiem. Żydem angielskim (Żydów przyjeżdża najwięcej). Człowiek ten miał dużą skrzynię jakichś kłaczy pieczole wócie zawinięty w mech i słomę. — tłumaczył, że są to szczególnie rzadkie okazy georginii czy czegoś takiego. Celnik, dwumetro wy olbrzym o twarzy i ruchach boksera, spojrzął na niego z góry z podejrzliwą złośliwością i bez słowa zabrał się do roblenia sałaty z kłaczy. Pracował nędzą tycznie przecinając po kolei każdy korzeń na cienkie plasterki, które jego równie groźny pomocnik szczegółowo badał pod lupą. Mały człowiek biegał wokół nich machając rękami i prosząc o zaprzestanie lub chwilę rozmowy. W odpowiedzi otrzymywał od czasu do czasu straszliwe spojrzenie boksera oczu. Scena była komiczna, lecz gdy nie mogłem powstrzymać się od śmiechu celnik znów spojrzął ponuro — tym razem na mnie. Przystałem.

Tego samego dnia wieczorem byłem na Broadway'u, wieczornym deptaku nowojorskim. Płona fantastyczne wystawy sklepów, wejścia do kin, do barów — góra różnobarwne reklamy zmieniają się ciągle, na redakcji Timesa denesze gonią reklam, sto szesnaste pieter w górze błyszczą wieżyczka Empire-Building, po ciemnym niebie krąży srebrne cygare — balon reklamowy Forda. Jasno, gorąco od świateł. gwar, tempo, ruch, — sześć rzędów samochodów na jeźdni, na szerokich trotuarach tłum, tłum wysokich, zdrowych, czystych dobrze ubranych i śmiejących się ludzi. Może wymieniłem uśmiech ze złośliwym celnikiem, który teraz po służbie jest taki sam, jak ci wszyscy, opaleni w białych koszulach ludzie i idzie śmiejąc się ze swoją dziewczyną postrzelaną z automatycznych pistoletów w strzelniczy w podziemiu obok, albo do kina, albo do drogue-store'u na lody. Już wiem, że nie potrafię rozpoznać co robią w dzień mijani teraz ludzie. Są między nimi urzędnicy banków i robotnicy, sprzedawcy sklepowi, szoferzy, dyrektorowie przedsiębiorstw i

Dominik Horodyński

właściciele biur handlowych — różnokolorowo, ale tak samo ubrani, pała te same papierosy, żują gumę, piją coca-cola, idą na te same filmy, mają te same „Comics” w kieszeni, identyczny rozkład dnia i równie mechaniczną pracę, te same poglądy na wszystkie sprawy — od bieżących do wiecznych, ich kobiety są do siebie podobne, zgrabne, jaskrawo ubrane i pomalowane, pokazują w głośnym śmiechu białe zęby. — Olbrzymia fala ludzka płynie i płynie, idą szczęśliwi, zadowoleni — zadowoleni z siebie, z Nowego Jorku, z Ameryki.

Takie zostało mi wspomnienie ludzi z Broadwayu. A kim są ludzie z prawdziwej Ameryki?

**

Przez pierwsze dni pobytu w Stanach Europejczyk oszołomiony jest tempem pracy tego kraju. Wszyscy pracują, kobiety i mężczyźni, ludzie bogaci i biedni, starzy i młodzi. Nikt nie ma czasu. Nie ma czasu, goni uciekający czas, bo razem z czasem ucieka dolar. Dolar motor Ameryki, podstawa awansu i całej hierarchii społecznej. Jesteś tyle wart ile zarabiasz. Gdy kogoś poznasz — zwłaszcza w godzinach pracy — zwłazcza — często przedstawiają ci dodaje mister X 5 tysięcy dolarów, sekretarz Y 7 tysięcy — co oznacza, że ci panowie zarabiają tyle dolarów rocznie. Gospodarz oprowadzający Cię po swoim domu mówi chętnie: ten obraz 4 tysiące, ten dywan 3 tysiące a to krzesło 500 dolarów. Ludzie zarabiający tyle samo mieszkają w tych samych dzielnicach i niezależnie od wykonywanych zajęć przyjaźnią się między sobą. Gdy pan Z zaczyna zarabiać mniej, zmienia dzielnicę i środowisko, dawni przyjaciele przestają go poznawać na ulicy, co obu stronom wydaje się absolutnie normalne i jeśli pan Z kiedyś będzie miał większe dochody, wróci

I LIKE Lud

do dawnych przyjaciół i dawnej dzielnicy. Dolar trzeba gonić, trzeba go gonić w swoim businessie przez cały dzień. Złapany natychmiast ucieka natychmiast jest wydawany. Albo się płaci raty za to co się już posiada, albo trzeba kupić coś nowego na raty, albo jest jakiś interes. Gonitwa zaczyna się znowu i tak mijają życie przy businessie i dla własnego businessu. Dlatego nieznaną jest tam instytucja kawiarni, nikt nie może i nie chce — tak jak w Warszawie, Paryżu czy Rzymie — wyrwać się na chwilę z biura i pogadać przy kawie o rzeczach oderwanych od bezpośrednich interesów. Zresztą jest tego i inna przyczyna.

W pewnej chwili spostrzegamy, że tempu życia nie towarzyszy żadne napięcie, że jest czysto mechaniczne. Czegoś nam brakuje, czujemy się w jakiejś pustce. Zaczyna nas ogarniać nuda. Dlaczego? — Ludzie, których spotykamy są dla nas mili i życzliwi, zapraszają nas do swoich domów, są wzruszająco serdeczni, ale nie mamy sobie nic do powiedzenia, możemy się tylko uśmiechać lub poklepywać po łopatkach, czyniąc próby przyswojenia sobie paru typowych dowcipów towarzyskich, którymi jednak nie sposób zająć czasu. Staramy się podzielać ich pasję i rozrywkę, co kiedy nigdy nie pojmemy na czym polega gra w bass-balla, którego mistrzowie są ogólnie czczonymi bohaterami, a mecze wielkim przeżyciem dla wszystkich mieszkańców kontynentu. Ach, bass-ball! — W momencie plenarnego posiedzenia ONZ-tu odbywały się właśnie mistrzostwa tej nie do pojęcia gry. W Nowym Jorku nikt o niczym innym nie mówił, zamiast powitania słyszało się okrzyk: kto prowadzi? Taksówek nie można było dostać, bo szoferzy tłoczyli się przy aparatach telewizyjnych w barach, na których mało co wiadać i absolutnie byli głusi na

wszelkie wołania. W tym czasie właśnie przemawiał Wyszyński w Lake Success. Jeden z moich znajomych obecny na sali obrad ze zdziwieniem zauważył brak większości dziennikarzy amerykańskich. Myśląc, że to jakaś demonstracja polityczna, poszedł do bufetu dowiedzieć się o co chodzi. I tam zastał całą grupę sprawozdawców amerykańskich przy aparacie telewizyjnym wydających co chwila okrzyki zachwytu lub dezaprobaty. Wynik meczu znacznie bardziej ich interesuje niż wynik gry: wojna czy pokój.

— Nie możemy biegać z nimi do kina, bo ich filmy są nie do zniesienia, a już nie sposób o nich po tym opowiadać. Odmawiamy pójsca po raz drugi na rewie, czy na występie do dancingu, bo wiemy że nie potrafimy przewyciężyć obsolnutej potrzeby ucieczki po pierwszym punkcie programu. Na boksie się nie znamy, żadnego hobby nie mamy, o którym moglibyśmy opowiadać, zostaje więc radio — spotyka się na ulicy ludzi, którzy idąc trzymają małe pudełeczko w ręku i co chwila przykładają do ucha. Bardzo byśmy chcieli jakoś się odwdziczyć i być też miłym, ale jak boogi-woogie, swing, jazz — nie, nie możemy. Mogłby nas jeszcze uratować wspólny śmiech przy oglądaniu kolorowych „Comics”, co kiedy na nasze nieszczęście pamiętamy z dzieciństwa różne „Koziołki Matolki”, znacznie zabawniejsze. Mimo wysiłków nie potrafimy się szczerze śmiać i już czujemy, że tracimy przyjaźń ludzką.

W Ameryce brak zupełnie napięcia intelektualnego, brak niepokoju i jakiegokolwiek ideologii. Ludzie nie mają żadnych zainteresowań poza swoim businessem i dzieciennymi rozrywkami. Jest duchowa cisza.

Napisał kiedyś Witkacy: „dla mnie człowiek nie odczuwający

Wędrowki po scenach polskich

Warunek wielkości „Trzeba bardzo cierpieć”*)

„Był kiedyś w Leydzie młyn: wielki młyn. Ten młyn był rodzinnym domem twojego ojca...” — tak rozpoczyna Rembrandt van Rijn opowiadać córce Cornelli dzieje swojego życia i tak mniej więcej zaczyna się wspaniała sztuka Brandstaettera.

Rembrandt opuszcza dom rodzinny w poszukiwaniu światła. W Amsterdamie kariera genialnego malarza, a raczej to, co zwykło się za karierę uważać, dojdzie do punktu szczytowego. Aby później dzień po dniu walić się w gruzy; aby sam Rembrandt z wyżyn sławy i dobrobytu spadł w otchłań nędzy i zapomnienia.

Jeśli wzlot jego kariery życiowej jest zasługą raczej uznania i sympatii ludzkiej, to upadek (jeśli to tak nazwać można) jest drogą powrotną (z pięknego, bogatego, własnego domu poprzez norę, w której „duszno, śmierdzi cebulą i skwaśniałym winem” do ujrzanego w godzinie śmierci młyna w Leyden), przebiegająca w całości zgodnie z wola idącego. Nikt inny, tylko sam Rem-

brandt ustala marszrutę. Wiedzie ona poprzez poniżenia i nędzę, poprzez wyrzeczenie się wszystkiego co ludzkie, a choć nie wolna jest od pokus ponętnych kończy się zwycięstwem ducha. Ze zbyt późnym — powie ktoś... a czyż czas tu ma jakiegoś znaczenie?

„Łaskawy Bóg po to czas stworzył, by człowiek w nim dojrzewał”. Obojętne jest kiedy przyjdzie dojrzalność zupełna.

„Chcąc dobrze poznać sens życia, trzeba przejść przez wielką burzę — mówi Rembrandt do syna. — Trzeba odejść od siebie, a potem upaść i w tym upadku siebie odnaleźć. Własną nikomość. I wówczas nagle przed człowiekiem otwiera się bezmiar szczęścia.”

W jedenastu pięknych obrazach scenicznych maluje nam Brandstaetter dzieje tego odejścia, upadku i odnalezienia się Rembrandta.

Nie jest to tylko inscenizowany życiorys artysty. Fakty stanowią tu raczej zmysłami uchwytaną wymowę przeżyć duchowych.

Trudno by mi było odpowiedzieć na pytanie, czy autor przedstawił życie Rembrandta w pełnej zgodzie z prawdą historyczną. Sądzić należy, że tak, Brandstaetter budzi zaufanie, konkretna odpowiedź mogą

dać historycy sztuki — dla mnie to jednak zupełnie nie jest ważne. Być może, że akurat Rembrandt najbardziej się tu nadawał jako wzór, ale sens sztuki widzę gdzie indziej. Sens „Powrotu syna marnotrawnego” stanowi przeżycia człowieka namaszczonego przez Boga geniuszem.

W drugim akcie sztuki mówi jeden z jej bohaterów Jan Six: „Są ludzie, którzy walczą ze swoim złym przeznaczeniem i giną świadomi swojej klęski. Ale są też ludzie, którzy walczą ze swoim dobrym przeznaczeniem, łamią własnymi reklamami szczęście swoje i swoich najbliższych, mając jednak świadomość odniesionego zwycięstwa.”

Ta druga grupa jest nieliczna. Jej skład osobowy to ludzie genialni, słupy graniczne w dziejach ludzkości, jej wzorce.

Przeciętny człowiek nie musi upadać, by siebie odnaleźć. Przeciętny człowiek raczej unika upadku, by się w nim nie zagubić.

Rembrandt w ujęciu Brandstaettera symbolizuje tutaj szczytowe wzniesienia duszy ludzkiej, a te szczyty są równoznaczne z cierpieniem.

Cierpienie do dna jest prawem i przywilejem osobowości genialnych. W nim i tylko w nim rodzą

*) Miejski Stary Teatr w Krakowie: Roman Brandstaetter — Powrót Syna Marnotrawnego (Rembrandt). Dramat w 3 aktach (11 odsłonach).

AMERYKA^[2]

zie

niepokoją związanego z Tajemnicą Istnienia, jest bydłakiem“. Witkacy używał często określeń przez sadnych. Przeczytałem to jego zdanie przed kilkoma dniami i w ostatnim tygodniu zadawałem wszystkim spotkanym znajomym pytanie, czy odczuwają ten rodzaj niepokoją. Połowa odpowiedziała, że żadnego niepokoją nie czuje, a nie sądzę, żeby wszyscy podpadali pod określenie Witkatego. Ale coś w tym jest. Otóż Ameryce takie niepokoją są zupełnie obce.

Nie było chyba jeszcze nigdy w dziejach mentalności równie dalekiej od jakiegokolwiek misty cyzmu. Cywilizacja, którą budują jest cywilizacją pogańską. Rola kościołów, a jest ich tam dużo, nosi charakter jeszcze jednej spójni społecznej, cenionej, bo nieszkodliwej skoro innym nie szkodziła, a raczej przynosiła pożytek. Zresztą dobrze mieć instytucję, która zawodowo trudni się utrzymywaniem dobrych obyczajów, tak potrzebnych w społeczeństwie. Odnoszę wrażenie, że wielu marksistów europejskich ma psychikę znacznie bardziej religijną, niż szereg placących za wejście do kościoła katolików amerykańskich.

Amerykanina obowiązuje rozkład $2 + 2 = 4$ i nic nie potrafi wzbudzić w nim niepokoją, że a nuż jest inaczej. Uważa, że żadne dysertacje do niczego dobrego nie prowadzą, a przede wszystkim nie przynoszą dochodu, więc nie przystojują poważnym ludziom. Dlatego — między innymi historycznymi już przyczynami — w kraju tym jest olbrzymia dyscyplina społeczna i wspaniała organizacja. Każdy wykonuje swoje obowiązki dokładnie i stanowczo — tak jak wspomniany celnik. Powstaje typ specja. Miliony speców zajętych własnymi czynnościami i ani przez chwilę nie zastanawiających się co z tych wszystkich wysiłków ma wynikać i czemu służyć. Wiadomo, że czło-

wiek nie powinien się mieszać do nie swoich spraw. Przestrzegając ten warunek Amerykanie zachowali absolutną możliwość człowieka. Są naiwnie szczerymi optymistami. Prezydent jest od tego, żeby robić politykę, za to mu się płaci. Jeśli będzie pracował źle to go się zmieni. Senatorów też po to się wybiera, żeby oni myśleli za mnie, żebym cały czas mógł poświęcić mojemu bussinesowi. Oni zresztą też powinni dbać o swoje interesy. Jeśli tracą własne pieniądze to nie są widocznie państwowymi ludźmi i nie należy ich drugi raz wybierać. W ten sposób na zimno, rozsądnie i handlowo Amerykanie chcą załatwić wszystkie problemy życia. Udało mu się to z miłością, z której znikł wszelki urok tajemniczości i romantyzmu. Byleby tylko żadnej tajemniczości.

Bardzo słusznie pisze Grinberg-Vinawert: „Amerykanie wielbią śmiech, ale uśmiech ich niepokoi i źle usposabia; prowokuje, bo kryje w sobie niepokojące niedopowiedzenie“. Sprawdziłem tę obserwację wielokrotnie. Strach przed problematyką obejmuje wszystkie dziedziny życia. Amerykanin wyjątkowo źle się czuje, jeśli nie może czegoś po prostu wytłumaczyć. Np. nie szczęście, — wiadomo, że zdarzają się nieszczęścia, że są biedni, nieszczęśliwi ludzie. Widocznie nie umieli dbać o siebie, ale tyle o tym ciągle się mówi, trzeba coś dać na dobry cel, byleby o tem więcej nie słyszeć, byleby tych ludzi nie widzieć. Naprawdę chciałby, żeby wszystkim było dobrze, chciałby jak najlepiej. Ofiarności jest dużo.

Gdy ktoś umiera — co i tam się zdarza — rodzina otrzymuje od przyjaciół kwiaty i prezenty i jeśli to tylko możliwe sprzedaje lub zmienia mieszkanie, pozbywa się pamiątek po zmarłym, — żeby zapomnieć. Obowiązuje dobry

humor. Dlatego ciągle się słyszy różne *sure fine, yes, well* itp. co zawsze ma oznaczać najwyższe zadowolenie. Wielokrotnie w ciągu dnia zapytywano: *how are you?* — musisz zawsze odpowiedzieć: *fine, very fine*, nawet gdy byś czuł, że za godzinę umrzesz. Pamiętaj, jeśli Cię boli ząb lub spotkało jakieś nieszczęście, obchodzi to tylko Ciebie — nie masz prawa innym psuć humoru. Te cenne, po pionierach odziedziczone obyczaje wytworzyły jednak pewną brutalność. Amerykanie nie są narodem zniewieściałym i wykazali w ostatniej wojnie, że umia się bić. — Byłem w Nowym Jorku podczas zjazdu uczestników ostatnich dwóch wojen światowych, którzy nazywają się weteranami lub legionistami. Kilkaś tysięcy silnych i dzikich mężczyzn, wielu z najdalejszych Stanów, rozbiła się tydzień po mieście. Straty magistratu za zdemolowane lokale, powyrwane samochody, pobite szyby itd. wyniosły — o ile pamiętam — 5 milionów dolarów. Spać było bardzo trudno bo ciągle ktoś strzelał i różne dete orkiestry w fantazyjnych strojach grały bojowe lub jazzowe pieśni przy akompaniamencie chórów męskich. Przez nieostrożne wyjście z sub-way'u wpadłem raz w nocy w sam środek triumfalnie maszerującej kilkuset tysięcznej gromady legionerów i po godzinnych wysiłkach ledwo zdołałem uciec z życiem, choć cała zabawa nosiła charakter jak najbardziej życzliwy. Niestety legionerzy byli straszliwie silni i bardzo pijani, strzelali z automatycznej broni z uprzejmości grochem lub wodą, rzucali granatami z tym samym ładunkiem, nieprzytomne ze strachu kobiety zabawiali dotykając je w najdziwniejsze miejsca nalektryzowanym laskami itp. W to wszystko z bocznych ulic strzelających petardami wpadały z donośnym trąbieniem rozpedzone samochody — symbole czołgów, łodzi podwodnych, samolotów, grali

trebacze, huk, krzyk — zabawa na całego. Jakieś nieprawdopodobne pijane dożynki w największym mieście świata.

**

Wyniosłem z pobytu w Ameryce przekonanie, że przykładanie do tego kraju jakichkolwiek miar europejskich musi zawieść. Powstaje tam zupełnie nowa, mająca bardzo mało wspólnego z naszą cywilizacją i kulturą. A więc powstaje i nowy, inny typ człowieka. Człowieka kółka w maszynie, człowieka — robota i niezliczonych ludzi managerów, też speców kierujących olbrzymim aparatem, zresztą doskonale rozumiejących się z ludźmi — robotami. Całość gigantycznego mrowiska nie jest ożywiona żadną ideą, jest bez koncepcji. W tym świecie, dziwnym zjawiskiem są tu i tam rozsiani, a traktowani z wyrozumiałością pobłażliwością ludzie-artysty, nieszkodliwi filozofowie itp. element, któremu z jakichś wyjątkowych czy przypadkowych racji, wolno i udaje się chodzić między poważnymi ludźmi i opowiadać gadki, że mogłoby być inaczej.

Proces mechanizacji jest szybki i chyba nieodwracalny, charakteryzuje go — nie wiem czy dodatnio — zupełna dobrowolność. Nie tylko dobrowolność a nawet aproba ogółu. Dlatego nie przypuszczam, żeby Amerykę oczekiwali w najbliższej przyszłości jakieś trudności społeczne. Przebudowywać współczesne państwo a la starożytny Egipt — co wydaje się być smutną koniecznością — można metodą rewolucji socjalistycznej, ale można też i drogą burżuazyjną. W poprzednim artykule wskazałem niektóre momenty, które pchnęły Amerykę na tę drugą drogę. Ułatwiła operację psychika Amerykanina, będąca głęboko burżuazyjna. Pionier nie był idealistą. Z trudem wyrabował sobie prawo do życia i dobrobytu, a przeciwnikiem jego była przyroda, a nie klasa społeczna. Ten duch przetrwał. Dlatego może współczesna nauka i technika, będąca w pewnym sensie kontynuacją walki z naturą, znacznie bardziej pasjonuje Amerykanów niż jakiegokolwiek idee, literatura czy sztuka. Szanowany jest ten, kto wygra — przegrywający nie budzą litości. Człowiek bogaty wzbudza więcej szacunku niż zawiści. Olbrzymie różnice w posiadaniu naprawdę mało rażą Amerykanów. Wysoki podatek spadkowy wprowadzony przez Roosevelta likwidujący stopniowo warstwę dziedzicznych milionerów — wyższy niż gdziekolwiek przeciętny poziom życia, upewnniają Amerykanów, że wszystkim jest O. K. Proletariat w sensie europejskim nie ma — są nim ci, którzy nie umieli sobie dać rady w życiu i z ich grona żadna myśl rewolucyjna nie wyjdzie. W kraju gdzie ludzie odczuwają absolutny wstręt do wszelkich „idei generalnych“ gdzie obowiązuje kult sukcesu, przewódca opozycji liberalno-lewicowej może być miliona Wallace, ale socjalizm rewolucyjny nie ma się o co oprzeć. Tylko wielki kryzys ekonomiczny mógłby wstrząsnąć fundamentami potężnego gmachu. Kierownicy gospodarki amerykańskiej przygotowują się na tę ewentualność. Chwytowo jest prosperity, obawy zblizania się kryzysu nie ma i nikt tam nie przewiduje trudności w najbliższym czasie.

*

Ilija Erenburg, którego trudno podejrzewać o przesadny filozofizm, pisze o Amerykanach „ten wielki i zdolny naród“

się najwyższe osiągnięcia człowieka. Błędne jest przekonanie, iż najwięksi święci byli szczęśliwi za życia. Droga ich była ciernista, znana bólem, wynikiem z świadomości istnienia własnych i cudzych grzechów. Święty Piotr trzy razy zaparł się Chrystusa, by później cierpieć i na tej drodze dojść do świętości.

Czym znaczyć się miała Rembrandta droga przez życie. Rolą jego przez Boga mu przeznaczoną było stworzenie nowych wartości artystycznych, zdolnych przetrwać wieki. Zadanie swoje miał spełnić z wola lub bez woli otoczenia. We wstępnej fazie rozwoju nie było zasadniczych konfliktów. Nic nie stało na przeszkodzie, by pracując z korzyściami doczesnymi. Korzyści te stwarzają zazwyczaj warunki upadku. Nie uchronił się od tego bohater sztuki. A jednak, kiedy umysł dojrzał, Rembrandt musiał powiedzieć strzelcom: „wybaczenie mi, że umieszczę Was w dziwnym świetle, które nie będzie światłem nocy, ani światłem dnia, ani waszym światłem, lecz światłem mojej duszy“. Światło jego duszy to nakaz bożego pomazania.

Jedyny człowiek, zdolny w sztuce Brandtaettera zrozumieć sens pracy Rembrandta, właściciel wina, Gartner tak o tym powie służącemu: „patrzac na ciebie, widzę oś! I cóż z tego? Przyjdzie inny, popatrzy na ciebie i będzie twierdził, że widzi małpę“.

W tej bardzo brutalnej opinii kryje się dużo prawdy: geniusz, patrzący na człowieka widzi nie jego skorupę, lecz nieśmiertelną duszę.

Tu znajdzie się źródło walki świata z geniuszem. W tej walce trzeba przegrać. Warunek sine qua non. Trzeba wbrew opinii zgorzsnionego świata pójść własną drogą, po własnym światłu. W tym rozstaniu, łączonym z pokutą za grzechy, nie leży kres cierpienia. Wyrzec się obcych, wyrzec się bliskich, wyrzec się najbliższych, to jeszcze nie wszystko. Nadchodzi moment najbardziej krytyczny: wyrzec się należy własnego dzieła. Człowiek bowiem jest śmiertelny — dzieło jego, jeśli ma przetrwać wieki, jeśli ma stać się nieśmiertelne musi być wyzwolone od swego twórcy.

I dopiero kiedy ten akt ukoronuje cały bezmiar dotychczasowych mąk i poświęceń, dopiero kiedy ostatnia, największa pokusa zostanie zwalczona, nic nie stanie na przeszkodzie, by dojrzeć upragnione światło, by dusza wypełniła się bezmiarom szczęścia.

Na spektakl „Rembrandta“ należałoby chodzić z jakimś albumem reprodukcji tego malarza. W wielu sytuacjach scenicznych znalazłbym doskonały komentarz do całego szeregu znanych dzieł. Atmosfera, w której czynnikami decydującymi jest gra kolorów, uchwytana już jest przy czytaniu egzemplarza. Nie chcę tu naśladować Macha, wolno mi jednak podkreślić, iż moment ten został dobrze podchwycony przez Karola Frycza. Poszczególne obrazy sztuki tchną wspaniałe rembrandtowskim kolorytem, że odnosi się wrażenie jakby przed oczyma przesuwały się oryginalne cudownych płócien genialnego malarza.

Niesposób, rzecz prosta, wyczerpać wszystkich uwag, nasuwających

się po obejrzeniu spektaklu. Chciałoby się czasem podjąć dyskusję i chciałoby się na przykład pokłócić z Morstinem i Warneckim za nie zawsze trafne skróty oryginału. (Scena na przykład końcowa obrazu „Chrystus z Oude Kerk“ jest bardzo charakterystyczna i wymowna — szkoda, że nie zadrżała ręka przy kreśleniu, ale na to brak miejsca. Zresztą to już tylko szczegóły).

Chodzi o coś niesłychanie ważniejszego. Chodzi o to, że spektakl krakowski przerasta wszystko, co nam w ostatnich trzech latach teatru zdołały pokazać.

Chodzi o to, że zetknęliśmy się tutaj z wysiłkiem śmiałości, w którym to wysiłku o lepsze walczą autor, dyrekcja teatru, inscenizator, scenograf i nawet aktorzy.

W olbrzymiej obsadzie aktorskiej naprawdę nie było słabych punktów. Nie mówię o Warneckim, ale wszyscy, nawet najmniej znani, porwani zostali chyba tematyką sztuki. Mówiącej o geniuszu — i jakimś tam jego światła utamkiem olśnieni — byli do siebie niepodobni, — niemal doskonałi.

Spektakl „Powrotu Syna Marnotrawnego“ należy do rzędu otwierających nowy rozdział historii teatru, w którym został wystawiony, tak jak tekst literacki „Rembrandta“ ma zapewnione miejsce w historii literatury. Szczęśliwcom, którzy spektakl oglądali — radzę, zachować na pamięć program — zarówno nazwisko autora, jak datę premiery i nazwiska wszystkich wykonawców nieraz jeszcze będzie się w przyszłości wspominać.

Mieczysław Markowski

d. c. a.

Tydzień kulturalny

NOWY PRZEKLAD NOWEGO TESTAMENTU

Ukazał się wreszcie oczekiwany od dawna nowy przekład Nowego Testamentu, dokonany przez autora „Dziejów Pawła z Tarsu” ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego. Książkę wydało na swe pięćdziesięciolecie Albertinum (dawny św. Wojciech w Poznaniu) wyjątkowo (nawet na swą zwykłą staranność) starannie i gustownie.

Przekład ks. Dąbrowskiego, wprowadzając wiele zwrotów nowoczesnych, wyjaśniających treść mniej zrozumiałych ustępów, zachowuje lekką archaizację i namaszczenie — co go czyni przekładem nadającym się do stosowania w naukach kościelnych. Komentarze są proste i zwięzłe, może czasami nawet zbyt krótkie; ze zrozumiałych jednak względów — chodziło o rozmiar tomu — nie mogły być obszerniejsze.

Dużą zasługą języka stosowanego przez ks. Dąbrowskiego jest celowe i wyraźne sprecyzowanie różnicy między tak często — a nie zawsze w dotychczasowych przekładach fortannie — stosowanymi spójnikami

„i” i „a”. Gdy np. w unowocześnionym przekładzie Wujka mamy zwrot: „I stało się dnia jednego, a On wstąpił w łódkę i uczniowie Jego...” (Łuk. 8, 22), ks. Dąbrowski ten sam zwrot tłumaczy jasno: „I stało się dnia jednego, że wstąpił wraz z uczniami Swymi do łodzi i rzekł do nich...” Nie jest to próba unowocześnienia jak u ks. Gryglewicza, który to samo miejsce tłumaczy: „Pewnego dnia Jezus i Jego uczniowie weszli do łodzi. Wtedy powieźdź do nich...” — ale też inne cele przyświecały obu tłumaczom. Zresztą przekład ks. Gryglewicza słuszny w założeniu, mniej jest szczęśliwy w wykonaniu. Natomiast przekład ks. Dąbrowskiego odznacza się potocznością, jasnością i dużą siłą wyrazu.

ZGONY

W Paryżu zmarł w końcu ub. roku znany historyk sztuki i krytyk literacki Jan Topass, entuzjasta i propagator zbliżenia Polski z Francją.

Topass urodził się w Krakowie. W okresie Młodej Polski studiował w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, po tym wyjechał do Paryża na

dalsze studia, gdzie osiadł na stałe i poświęcił się krytyce artystycznej. W starych rocznikach warszawskiego „Głosu” i krakowskiej „Krytyki” spotkać można jego świetne eseje ze sztuki, kultury i literatury francuskiej.

W Polsce najbardziej znana jest jego książka p. t. „Szlakiem dusz twórczych”, zawierająca kilka kapitalnych studiów ze sztuki francuskiej, angielskiej, japońskiej.

W Sosnowcu zmarł prof. Władysław Powiadowski, zasłużony pedagog, kompozytor i muzyk.

Największy rozgłos zdobyła mu muzyka do wodewilu Krumłowskiego „Królowa Przedmieścia”, który od wielu lat bywa wznawiany na scenach polskich. Po ukończeniu konserwatorium w Warszawie, Powiadowski poświęcił się pieśni ludowej, założył towarzystwo „Lutnia” w Częstochowie, a następnie w Sosnowcu.

Powiadowski komponował muzykę do utworów M. Konopnickiej. Największe zasługi położył na polu pracy pedagogicznej, na prowincji.

POWRÓT

KAZIMIERY ILLAKOWICZÓWNY
Po siedmioletnim pobycie na uchodźstwie w Rumunii powróciła do Warszawy znana poetka Kazimiera Illakowiczówna.

Została przyjęta na długiej audyencji przez min. Dybowskiego w Ministerstwie Kultury.

DOBRACZYŃSKI W WIELKOPOLSCIE

Na zaproszenie poznańskiej delegatury „Czytelnika” Jan Dobraczyński objechał z wieczorami literackimi miasta Wielkopolski: Poznań, Ostrów, Śrem, Nowy Tomyśl, Szamotuły, Skwierzynę i Międzyrzecz. Na wieczorach wśród słuchaczy górowała młodzież. Dobraczyński czytał wyjątki z „Najeźdźców” oraz ze swej nowej powieści p. t. „Wybrańcy gwiazd”.

W jednym z miast inscenizowano nawet fragmenty „Najeźdźców”, jak również „W rozwalonym domu”.

PISMA KATOLICKIE W SYJAMIE
Przed 15 laty zaczął się w Syjamie ukazywać katolicki dziennik dla młodzieży pod nazwą „Jawasen”. Pierwszy jego numer miał 200 egzem-

plarzy nakładu. Trzy lata później pismo to posiadało już własną drukarnię. W roku 1936 powstała obok niego nowa gazeta „Udom Pha”, licząca 3.000 płatnych abonentów. Podczas wojny oba te periodyki znalazły się w nadzwyczaj trudnej sytuacji, na skutek szerzących się w tym kraju, pod wpływem Japonii, szowinizmu narodowego i bezbożnictwa. Od roku jednak 1945 księża Salezjanie, którzy kierują tą akcją wydawniczą, mogą się poszczycić nowymi wielkimi sukcesami swoich redakcyj, którym bogatych dostarcza materiałów doświadczałych, również przez nich prowadzona, szkoła zawodowa, istniejąca w Bangkoku.

WYJAŚNIENIE

Z numerem poprzednim podnieśliśmy cenę naszego pisma o 1 zł. Złotówkę tę — jak o tym pisaliśmy — przeznaczamy na fundusz dziecka w „Caritasie”.

Podwyżka ta nie dotyczy stałych prenumeratorów „Dziś i Jutra”. Sądzimy, że ludzie, których stać na regularną prenumeratę katolickiego pisma, stać także na regularną pomoc „Caritasowi”. Tym niemniej gotowi jesteśmy zawsze pośredniczyć w składanych na „Caritas” ofiarach.

Redakcja

Ks. Henryk Weryński

O polskich świętych

W ocalonej z pożogi wojennej korespondencji znalazłem listy O. TOPOLIŃSKIEGO, generalnego postulatora spraw kanonizacyjnych zakonu Franciszkanów, w których donosi mi o postępie starań, dotyczących przyszłych Świętych Polskich: na terenie Watykanu.

Z tych cennych zapisków pragnę podać pewne szczegóły, które z pewnością zainteresują sfery katolickie w Polsce.

Do najbardziej interesujących należą dane, podane mi przez O. Topolińskiego w sprawie Męczenników Podlaskich, którzy — jak wiadomo — w r. 1874 oddali swe życie o bronie Wiary i za przywiązanie do Kościoła katolickiego w Pratulinie.

W dniu 17 listopada 1938 r. rozpoczął się w Siedlcach uroczysty Proces Informacyjny Męczenników Pratulinińskich. Przewodniczył sędzia delegowany J. E. Ks. Biskup Dr. Czesław Sokołowski. Wicepostulatorami tej sprawy byli ks. infułat Dr. Karol Dębniński i ks. Dr. Adam Wojtyła, mianowani przez postulatora generalnego, wyżę wspomnianego, Ojca Dra. W. Topolińskiego.

Na pierwszej sesji ustalono imiona i nazwiska tych męczenników tak, jak ich wylicza marmurowa tablica, wmurowana w ścianie kościoła pratulinińskiego (po stronie Ewangelii), a mianowicie:

1. Daniel Karmaz, 2. Łukasz Bojko, 3. Bartłomiej Osypuk, 4. Onufry Tomasiuk, 5. Mikita Hryciuk, 6. Konstanty Łukaszuk, 7. Konstanty Bojko, 8. Filip Cieryluk, 9. Maksym Nawryluk, 10. Ignacy Franczuk, 11. Michał Wawrzyczuk, 12. Jan Andrzejuk, 13. Wincenty Leśniuk.

Pod nazwiskami na tablicy podano: „Cześć unitom, poległym w obronie Wiary świętej i Kościoła 1874 roku”. — Ofiara parafian pratulinińskich.

Jak widzimy z brzmienia imion i nazwisk tych trzynastu bohaterów podlaskich, są to męczennicy pochodzenia białoruskiego. Mimo to uważani są oni za bohaterów polskich, a J. E. Ks. Biskup — Ordynariusz Podlaski Dr. Przeździecki wziął sobie za cel swego życia (jak wspominał O. Topolińskiemu) nie spocząć prędzej, dopóki najlepsi synowie jego diecezji, umęczeni za Wiarę, nie zajaśnieją na ołtarzach Pańskich.

Jak pisze (w jednym z listów) O. Topoliński, „według prawa kanonicznego po wyznaczeniu Komisji Apostolskiej będą podniesione święte szczątki pomordowanych bohaterów za Unię z Kościołem Katolickim i umieszczone w kościele”. Następnie Sąd biskupi informacyjny ma wy badać przez przesłuchanie świadków, czy wyliczeni Unii byli rzeczywiście rozstrzelani na rozkaz carskiego zbira, Kutana, oraz czy za przyczyną tych męczenników wypraszała sobie łaski u Boga. Cuda i cnoty heroiczne nie są tu konieczne, o ile samo męczeństwo wymienionych jest pewne i nie budzi żadnych wątpliwości.

O. Topoliński nosił się z zamiarem — jak pisze do mnie, — aby do procesu męczenników z Pratulina włączyć wszystkich innych naszych męczenników od r. 1874, których męczeństwo da się stwierdzić historycznie. — Ks. Kóźef Pruszkowski w swej monografii pt. „Martyrologium Podlachiae in Polonia” wylicza dziewięćdziesięciu dziewięciu męczenników — na przestrzeni tylko pewnego okresu czasu.

Niezależnie od sprawy męczenników pratulinińskich, którą uważał O. Topoliński za stosunkowo łatwą do przeprowadzenia, porusza O. Topoliński — w swoich ciekawych listach — sprawy innych naszych kan dydatów na Ołtarze.

„Dwie polskie założycielki zgromadzeń zakonnych” — pisze O. Topoliński — znajdują się na wokandy dzie czyli album kanonizacyjnym Kongregacji św. Obrządków w Rzymie: Maria Franciszka Siedlńska, założycielka siostr Nazaretanek i Maria Teresa Ledóchowska, założycielka Solidacji św. Piotra Klawera. Po odbytych procesach diecezjalnych czekają na ustanowienie Komisji papieskiej: celem przeprowadzenia procesów apostolskich...”

Następnie cytuję O. Topolińskiego kolejno innych „kandydatów” do aureoli w takim porządku:

- 1) O. August Czartoryski, Salezjanin,
- 2) O. Rafał Kalinowski, Karmelita bosy, oraz
- 3) O. Rafał Chyliński, Franciszkanin.

Według dalszych informacji O. Topolińskiego, na procesy diecezjalne

czekają jeszcze: Królowa Jadwiga, Kardynał Hozjusz, Wanda Malczewska, oraz biskup piński Ks. Zygmunt Łoziński.

Bardzo ciekawe i mało uznane w Polsce jest to, co O. Topoliński pisze o Melchiorze Chylińskim, późniejszym O. Rafale, oto jego słowa: „najbliższe do beatyfikacji w Rzymie stoi sprawa Melchiora Chylińskiego, rotmistrza Wojsk Polskich z czasów Króla Augusta III. Jeszcze za czasów niepodległej Polski były ukończone, proces diecezjalny i apostołski, lecz rozbiory zaprzęcały — razem z innymi — i tę sprawę naszą...”

Dodać należy, że O. Topoliński, jako „postulator generalny”, wziął się bardzo gorliwie do dzieła, aby tę zaprzęcającą sprawę odnowić i przygotować na wokandy kanonizacyjną. Generalny Promotor Wiary, zwany powszechnie przedtem i dzisiaj „advocatus diaboli”, wręczył już postulatowi 58 zarzutów przeciwko świadkom i przeciwko cnotom heroicznym tego sympatycznego Sługi Bożego O. Topolińskiego wraz ze swym adwokatem Ferratą — przygotował się do odparcia zarzutów. Zarzuty i odpowiedzi miały być następnie rozważane na trzech

sesjach kardynalskich. Ostatnia z tych sesyj miała się odbyć w obecności samego Ojca Świętego. Gdyby już nikt z pięćdziesięciu obecnych sędziów, kardynałów, prałatów i konsultorów nie miał nic do zarzucenia, wówczas Papeż byłby ogłosił Sługę Bożego jako VENERABILIS. O. Topoliński cieszył się, że taki dekret papieski, uznający O. Chylińskiego za VENERABILIS, ukaże się w r. 1941, tzn. w dwusetną rocznicę śmierci Sługi Bożego. O. Chyliński umarł bowiem w r. 1741 w Łąglewnikach pod Łodzią.

Lista naszych polskich „kandydatów do aureoli” nie jest wyczerpana w korespondencji O. Topolińskiego.

Trzeba ją absolutnie uzupełnić postaciami takimi jak np. ks. Stanisław Papczyński, który może bliższym jest ołtarzy niż nawet O. Chyliński, następnie Brat Albert (Adam Chmielowski), Karmelitanka bosa M. Teresa od Jezusa Mochnacka itd.

Na marginesie tej czcigodnej listy nasuwają się dwa pytania.

Pierwsze: czy nie należy zorganizować tych, którym leży na sercu pomnożenie szeregów beatyfikacyjnych kanonizacyjnych Polek i Polaków?

Twierdzą, że tak.

I powracam do koncepcji powołania do życia „Związku czcicieli Świętych Polskich”.

Przed wojną przesłałem J. Emli-

nencji Ks. Kardynałowi — Prymasowi Drowi Augustowi Hlondowi projekt statutu „Związku czcicieli Świętych Polskich” i projekt regulaminu poszczególnych placówek tego Związku.

Ksiądz Prymas przyrzekł mi, że zajmie się tą sprawą.

Drugie: czy nie należy wznowić wydawnictwa periodycznego, które ukazywało się przed wojną, najpierw w Warszawie — bohaterskim wysiłkiem takich entuzjastek kultu Świętych Polskich, jak Ottowa, Chlewińska i in., a potem zostało przejęte przez Seminarium Zagraniczne w Potulicach?

Nosiło ono nazwę „Cześć Świętych Polskich”.

Nazwę można by zmienić. To nie jest sprawa istotna.

Ale — organ czcicieli Świętych Polskich jest nieodzowny, jeśli ci czcielele mają czegoś dokonać w tej dziedzinie i jeśli ich wysiłki nie mają ulec rozproszkowaniu, względnie nawet zupełnemu zamarnieniu.

Pomyślmy o tym wszystkim!

My — stanowczo za mało (w porównaniu do katolików francuskich, włoskich, czy innych) dbamy o naszych świętych rodaków.

Naszym obowiązkiem jest — przyczynić się do tego, by w wielką litanię Świętych Kościoła Powszechnego wpleść odpowiednią ilość polskich imion i nazwisk. Właśnie: teraz!

Ks. Henryk Weryński.

Książka której było brak

Małżeństwa i dorastająca młodzież szukając sobie dróg wyjaśnienia spraw pożycia małżeńskiego, rozczylają się w licznych książkach, mających pretensje do nazywania się nawet rozprawami naukowymi, chociaż w rzeczywistości nie mają nic z tym wspólnego. Są one utrzymane w tonie niezdrowej sensacji, obliczonej na popularność i zarobki autorów i księgarzy. Bardzo istotne zagadnienia życia ludzkiego sprowadza się w owych książkach do roli lekkomyślnej rozrywki, a „wskazówki” autorów prowadzą do rozwiązań życia, sprzecznego z nauką Boską, wskazaniami Kościoła, interesami narodu i państwa oraz szczęściem rodziny i jednostki. Naukowej literatury, która by nawiątyła problem seksualny z aspektem porządku moralnego, dotąd w Polsce nie było.

Łukę tę uzupełniło nowe wydawnictwo „Albertinum” Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, a mianowicie studium ks. dra Zygmunta Kozubskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, zatytułowane „Podstawy etyki płciowej”.

Praca ta została wydana już w 1939 r., lecz z powodu wybuchu woj-

ny nie zdołano jej rozprowadzić po kraju. W toku działań wojennych prawie cały nakład przeszedł. Obecne wydanie, które ukazuje się nieco rozszerzone i uzupełnione, stanowi poważną pozycję w dorobku jubileuszowego roku Księgarni św. Wojciecha.

Autor podjął się „analizy rzeczowej zjawisk życia płciowego, celem wycytowania w nich praw, które sama natura dyktuje”. Mimo, że autor przestrzega się w przedmowie, że „praca jest jakby zarysem, mającym pewne braki, spowodowane ilością i jakością materiału, wchodzącego w orbitę najrozmaitszych gałęzi wiedzy”, trzeba podnieść wielką pracowitość i skrzętność studium, co objawia się m. in. w 104 pozycjach literatury przedmiotu oraz licznych tekstach od Platona i Arystotelesa poczynawszy.

W wstępie autor określa swą pracę „jako etykę płciową” a nie „katolicką etykę płciową”; gdyż etyka jest badaniem rozumowym, które nie opiera się na Objawieniu. Mimo tego stanowiska autora katolicy uznają ją za pracę jako „rzecz dla katolików”, gdyż — jak zresztą sam ks.

prof. Kozubski dalej stwierdza — w bór takiej czy innej metody naukowej nie może pozbawić etyki „pewnej orientacji dotyczącej idei dobra”.

Całość składa się z sześciu rozdziałów, których tematem są ontologiczne i antropologiczne założenia etyki, fenomenologia sfery płciowej, wartości życia płciowego, jego normy etyczne, amoralizm i indywidualizm w etyce płciowej oraz stanowisko chrześcijaństwa wobec tego problemu.

Nie wchodząc w szczegóły dzieła, które trzeba dokładnie przestudiować, aby mieć o nim należyte pojęcie, zaznaczyć należy, że studium naukowe ks. prof. dra Kozubskiego nie ma nic wspólnego z formą innych wydawnictw, traktujących ten przedmiot. Chociaż książka ta przeznaczona jest w pierwszym rzędzie dla inteligencji, napisana jest jednak w sposób przystępny, co zdarza się na ogół rzadko w pracach naukowych i dlatego powinna zainteresować ośól społeczeństwa polskiego. Jeżeli ukazanie się pracy ks. dra Z. Kozubskiego w roku 1939 było wynikiem potrzeby owego czasu, to tym bardziej aktualne i potrzebne jest dzisiaj, gdy proces demoralizacji i „ulawiania” sobie życia wykazuje niezwykły rozwój.

J.

Jerzy A. Górski

Troska materialna młodzieży

Atmosfera gorączkowego podniecenia w jakiej rozpoczynał się bieżący rok akademicki należy już do przeszłości. Wyszliśmy definitywnie z okresu dyskusyjnych utarek i ponurych przewidywań. Stanęliśmy jak to mówią kiepscy publicyści w obliczu rzeczywistości. Ustawa o ograniczeniu ilości miejsc na wyższych uczelniach została wprowadzona w życie, a twórcy jej nie zastanawiali się wcale nad wynikami przeprowadzonej, mimowolnie zresztą, ankiety wśród społeczeństwa. Cokolwiek można by powiedzieć na temat samego zarządzenia i metod jego interpretacji, przyznać trzeba, że wbrew przewidywaniom mury uczelni nie drgnęły nawet, nikt prawie nie podał się do dymisji i nikt z młodych nie popełnił samobójstwa. Reforma ta nosi już dzisiaj charakter nieodwracalnego faktu.

Właściwie niewiele sensu ma poruszanie tej kwestii. Zdajemy sobie dziś sprawę, że wszelkie reformy zostaną przeprowadzone, że czynnik miarodajny nie lubią dopuszczać w wyniku dyskusji do żadnych odchyżeń od swej linii przewodniej. Dlatego też nie bawmy się w Don Kichotów staczających boje z wiatrakami, lecz spojrzmy na to o co walczyć jeszcze można i warto. Istnieje bowiem w życiu akademickim dziedzina, kto wie czy nie najważniejsza, o której zreformowanie nie pokusił się dotąd nikt. Istnieją problemy, których nie dostrzega się z zasady, u jednych ślepotę tę powoduje wstyd, u innych obojętność, u jeszcze innych przezorność, obawa przed wnikaniem w cudze kompetencje. Mam tu oczywiście na myśli sprawę studenta, którą traktować trzeba jako sprawę obywatela i człowieka. Dość już zapisano papieru i dość rzucono w powietrze mądrych i głupich słów w pasji reformowania wszystkiego: od składu i uprawnień senatów akademickich poprzez programy i podręczniki aż po regulaminy porządkowe.

Stale z dziwnym a godnym większych celów uporem zapominają o studentach. Zapominają się — tak proszę państwa. Zapominają żywotne potrzeby uczącej się młodzieży hamuje się jej rozwój, podcina się jej, powiedzmy to trochę poetycznie, rozpostarte do lotu skrzydła. Jeżeli ktoś zaprotestuje, jeżeli zapyta natłwione dlaczego? Proszę oto odpowiedź.

Ludzie lubią bardzo upraszczać każde pojęcie, lubią operować szablami. Kominiarz jest zawsze w ich pojęciu usmarowany sadzami, komunista hołduje zasadzie wolnej miłości, student zaś jest biedny. Inaczej być nie może skoro tak już twierdziła babka Kunegunda. Nie znaczy to bynajmniej by społeczeństwu dogadzał taki stan rzeczy. Wręcz przeciwnie, chętnie roni się łezką, a w niedzielę można nawet wepchnąć do kwestarskiej puszkki dziesięciozłotowy banknot. Biedni nasi akademicy, tak się męczą... Co za wytrwałość. Tak ci wyrosną na ludzi. Weszło już u nas w zwyczaj, że neguje się to czego się nie widzi. Jeśli więc po ulicach nie spacerują studenci w łachmanach i bez butów, jeśli nie mdleją z głodu — nie jest jeszcze tak źle, jest nawet zupełnie dobrze.

Nie sądzmy według pozorów — stać nas chyba na to. Weźmy do ręki statystykę akademickich poradni przeciwgruźliczych. Tu mówią cyfry. Jaką zaporę możemy przeciwstawić szerzącej się w zaskrajającym tempie tuberkulozie? Nie mamy sanatoriów, ani domów wypoczynkowych. Nie odwołujemy się do prospektów T. P. M. S. W.

usianych pięknymi hasłami. Piękne sanatorium fotografowane ze wszystkich stron pomieścił w najlepszym razie kilkuset studentów. A reszta? Ale to, że polski student musi mieć suchoty, przecież Sienkiewicz już pisał o tym. Nie sprzeciwiamy się tradycji! Czekajmy raczej na listościanych Szwedów, Duńczyków czy Szwajcarów. Na ich szczepionki, ciepłą bieliznę i czekoladę. Wysyłajmy studenckie delegacje do wszystkich zagranicznych instytucji charytatywnych, do biur placówek dyplomatycznych. Niech się nauczą przydatnej w życiu sztuki antyszambrowania. Smutna konieczność powiecie — nie, majzajstwo i dziadostwo! Studenci nie mają z czego żyć, studenci marzną i głodują — napisze czasem sprytny dziennikarz, gdy mu zabraknie stu wierszy do wyrobienia normy. Więc zaraz poruszone tym alarmem czułe serca rozpalają się: komitety pomocy sekcje, podsekcje. Rezultat zawsze ten sam: weź bracie akademiku puszczone do ręki i hajda na miasto „po prośbie” — nie hańba to ale dumne pielęgnowanie historycznych zwyczajów — wszak żacy krakowscy nie inaczej czynili pięćset lat temu. Dziś nie trzeba już akademika zapraszać do wzięcia udziału w jałmużnej imprezie. Robi to sam, z własnej choć przymuszonej woli. A fakt, że robi to z humorem was nie usprawiedliwia.

Młodzież musi studiować — slogan ten powtarza się aż do znużenia. Nie mówi się tylko o tym, że ta sama młodzież musi również jeść, ubrać się i znaleźć dach nad głową. Prawda, przydziela się stypendia: 3 tysiące, czasem nawet aż cztery na łepkę! Zawodzą jakoś tęgie zazwyczaj mózgi finansistów kiedy przychodzi rozpatrzyć budżet studenta. A przecież żyje on na tej samej planecie, ba w tym samym kraju co gryzpiórek n-tej kategorii co to i pensyjną trochę wyższą otrzyma, i przydział do teczki włoży, a od czasu do czasu i premii zaszczytny zostanie. Chyba, że rzeczywiście bez nędzy nie byłoby studenta.

Oblicza się stale w kaloriach wartość posiłków wydawanych w bratnickich stołówkach. Bardzo pięknie wyglądają takie tabele i barwne graficzne wykresy tylko, że student chodzi głodny bowiem niestety nie nakarmią go cyfry. Posłuchajmy rozmów w takiej stołówce, popatrzmy na stoły, zawartość talerzy. „Głodna kuchnia” w najgorszym stylu. No cóż ciocia UNRRA wyzionęła ducha wskutek starczo-politycznego uwiadu, a my sami jesteśmy bezsilni. Nam jest potrzebne „horse meat” — w Polsce brak jest przecież mięsa! Tak samo jak brak jest plósa i artykułów tekstylnych. Więc jeśli USA czy Korona Szwedzka nie raczy przysłać kompletu wytwornych ubrań, którymi wzgardził uprzednio tamtejsi włóczędzy — jest nam niezmiernie przykro, rozkładamy ręce — nic nie możemy zrobić.

Odbudowuje się domy akademickie, tworzy się nowe. Jest ciasno — to wiemy, chętnych również wielu — zgadzamy się z tym twierdzeniem. Dlaczego jednak zaprzeczają się takie okazje, jak dom akademicki na ulicy Kopernika w Warszawie. W ogóle polecam Ministerstwu Oświaty pod szczególną opiekę t. zw. Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych. Tytuł długi i groźny — rezultatów nie widać. Warto sprawdzić dlaczego — ostrożność nigdy nie zawadzi. Kilka miesięcy temu wróciło po ukazaniu się mego artykułu „O prawdziwej refor-

mę szkół wyższych” otrzymałem bardzo miły list. Piszę miły, gdyż miła i sympatyczna była jego autorka — studentka wydziału humanistycznego z Poznania. Treść natomiast zasługuje raczej na miano potwornej. Otóż pani ta opisywała w skrócie swą karierę akademicką — nadającą się doskonale do filmowego scenariusza, zawierającego wszelkie atrakcyjne elementy i gład i chłód i chorobę i dziurawe buty, brak pałta. Wszyscy legendarni studenci Prusa i Żeromskiego mogliby pozazdrościć mej korespondentce i jej koleżankom bogactwa wrażeń. Zaznaczam przy tym, że chodziło tu o studentki imatrikulowane przed dwoma laty.

Wiem, że niniejszym artykułem czynię wyłom w mych dotychczas prawie przyzwyczajonych obyczajach publicystycznych. Trudno, niekiedy już nie można zdzierżyć. Tu trzeba Majdańskiego — mocnych epitetów i bicia pałką po głowie! Dzieje się stanowczo źle, i to bez żadnej nadziei nie polepszenie aktualnego stanu rzeczy. Państwu potrzebni są ludzie zdrowi tak fizycznie i moralnie. Czy obecne warunki egzystencji młodzieży akademickiej sprzyjają realizacji powyższego postulatów? Śmiem mocno w to wątpić. Studentka czy student ma dziś do wyboru albo uczyć się pełną parą nie zważając na głos żołądka i chlupot wody w butach aby uzyskać dyplom i dodatni wynik Pirquet'a, albo iść do pracy zarobkowej co, wiem dobrze, jak bardzo niekorzystnie odbija się na przebiegu studiów. Innej drogi nie będzie dopóki czynnik miarodajny i społeczeństwo nie raczą zrozumieć doniosłości tego problemu, a w ślad za tym nie zmienią swego postępowania.

Tyle o sprawach materialnych. Przejdźmy teraz konsekwentnie, jak to praktykują koryfuszowie życia umysłowego i wybitni znawcy problemów młodzieżowych stacjonujący w Kuźnicy, do następnego zagadnienia. Pomieszczyjmy trochę w tygrysię ideowo politycznym! Młodzież akademicka przepełniona jest reakcyjnymi poglądami zaszczepionym w szkołach Ancien regime'u głoszący spece z Ministerstwa Oświaty. Młodzież akademicka przystosowuje się szybko do nowych warunków — rozpaczają „reporterzy” pism emi-

gracyjnych. Tymczasem naprawę młodzież ta pogrąża się w rozpaczliwej bezideowości. Nie chodzi tu bynajmniej o zapatrywania polityczne — te bowiem są kwestią conajmniej drugorzędą. Ideą mogą bowiem i powinny być same studia, ich właściwy wybór, poczucie roli jaką odegra się dzięki nim w społeczeństwie i uczciwa praca mająca na celu korzyści jakie odniesie z niej w przyszłości Państwo. Otóż tego podejścia nie obserwuje się zupełnie. Panoszy się zatem brutalny materializm życiowy. Politechnika, medycyna, stomatologia, farmacja — oto prawdziwe wydziały, których ukończenie gwarantuje „kupę forsy” i „klawe życie”. Chyba, że komuś szczęście nie dopisało, nie dostał się na szlak prowadzący ku podnożom złotego cielca — w takim razie niech męczy się na humanistycę, antropologię czy przyrodzie, niech zostanie belfrem czy muzealnym kustoszem! Takie są ideały młodego pokolenia, pokolenia „rzekomych romantyków”, „epigonów” roku 63-go. Nie trudno dopatrzeć się przyczyn tego tak powszechnego stanu duchowego mówiliśmy o nich wyżej. Tam, gdzie trzeba walczyć z nędzą ideał zawsze, wcześniej czy później „sięgnie bruku”. I nie pomogą tu żadne pogadanki z cyklu „o wyborze zawodu”. Tylko pełny talerz może zmienić mentalność tych ludzi — przed trzema laty największych chyba idealistów na całym ziemskim globie.

Nie czynimy jednak zawodu pamom Kuźnicy i ich satelitom z „Poprostu”. Poświęćmy słów parę polityce. Więc młodzież polityką się nie interesuje co stanowi zjawisko być może nie najbardziej szkodliwe. Ustroje państwowe przebudowywać będą jako ludzie naprawę dojrzały, co się w świecie dzieje wiedzą i tak z gazet, a udział w pochodach, meetingach widocznie wchodził z nich nie odpowiada. Poza tym są zmęczeni przeżyciami ubiegłych lat i obecnymi trudnościami i trochę rozgorzeleni. Muszą odpocząć i przez ten czas podreperować swój intelekt. Bardziej przykrym natomiast objawem jest obojętność rzesz akademickich do działalności bardziej zróżnicowanych ideowo. Zasadniczo działają na wyższych uczelniach przede wszystkim młodzieżowe przedłużenia par-

ty politycznych organizacji studenckich. To nie jest dobrze tym więcej, że i działalność organizacji katolickich Caritasu, Sodalitacji i Juventus Christiana nie zawsze jest na odpowiednim poziomie. Stają się one, zniechęcone ograniczeniem możliwości konkretnej pracy, coraz to bardziej ekskluzywne, coraz wynioślejsze i głębiej zatopione w kontemplacji. Oddalają się od życia akademickiego już nie tylko faktycznie, ale i formalnie. Tak wygląda w praktyce przyjęcie drugiej postawy, o której mówi kard. Sulkard w swym liście pasterskim. A szkoda — każda organizacja katolicka nawet par excellence dewocyjna ma przed sobą wielkie zadania. Skrywając się w cień, zamykając się w wieży z kości słoniowej nie tylko, że ich nie realizuje, ale wyrządza krzywdę całemu polskiemu społeczeństwu katolickiemu.

Jednym z najpoważniejszych wytycznych działalności stowarzyszeń katolickich powinna być walka o moralność młodzieży. T. zw. popularnie „upadek moralności” posunięty został dość daleko. Leczenie objawowe wydaje się w tej chwili już bezskuteczne, wrzód należy wyciąć. Toteż organizacjom katolickim przypadłaby rola przede wszystkim lekarza - profilaktyka strzegącego zdrowych lub zagrożonych dopiero gangreną. W cięższych wypadkach akcja ich również, oczywiście umiejętnie i powoli poprowadzona, przyniosłaby pożądane rezultaty. Jeśli wyraziłem się, że wrzód należy wyciąć to miałem na myśli nader przykrą sprawę chorób wenerycznych, które na odcinku akademickim przeszły po wojnie od decydującego ataku. Otóż trzeba raz wreszcie skończyć z biadoleniem i opowiadaniem się z ciekawostką mi wątpliwą wartości. I tu uważam za decydującą instancję — P. A. L. M. A. Każdy student, każda studentka muszą, jak dotąd poddać się prześwietleniu płuc. — Dlaczego nie jest obowiązujące badanie krwi. Zło przychodzi z wewnątrz. Proszę wybaczyć mi brutalność ujęcia: student nie utrzymuje stosunków z kurtyzanami.

Na walkę nie jest jeszcze za późno! Trzeba tylko okazać stanowczość.

Z działalności Kościoła Katolickiego w U.S.A.

(Korespondencja własna)

Ludność Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej według spisu z 1944 r. wynosi 132 miliony. Według przynależności do religii jest około 40 proc. wierzących, a ok. 60 proc. niewierzących lub niepraktykujących. Protestanci mają 256 związków religijnych i ok. 26 milionów wyznawców należących do różnych wyznań, często zwalczających się wzajemnie. Część ich wybrała sobie „Federalną Radę Kościoła Chrystusowego, która jednak nie jest wyposażona w potrzebny autorytet. Nic dziwnego, że każda gmina chrześcijańska uczy czego innego, twierdząc, że jest to rzecz drugorzędna, w co się wierzy; dlatego i protestantyzm nie wywiera wpływu na życie religijne. Widzi to wielu trzeźwo myślących protestantów i dlatego wołają o reformę. Katolicyzm wśród wyznań stanowi większość, liczy 24 miliony wiernych zrzeszonych w około 14.300 parafiach, którymi administruje ponad 38.000 księży świeckich i ok. 150 arcybiskupów i biskupów. Ponadto istnieje w Stanach Zjedn. 53 Seminarium diecezjalne z ok. 20.000 kleryków; oraz wiele tysięcy zakonników i zakonnic. Katolicy tu są przeważnie praktykujący; każdy ma swoją książeczkę parafialną; Kościoły w niedziele są przepełnione.

Obok ściśle kapłańskiej pracy us-

więcania ludzi Kościoł Amerykański prowadzi szeroko zakrojoną akcję w różnych dziedzinach życia społecznego, mianowicie: wychowuje młodzież w katolickich szkołach, prowadzi dzieła miłosierdzia, jak żłóbki dla dzieci, przytulki dla starców i kalek, szpitale dla chorych; znany jest obecnie Narodowy Katolicki Komitet Dobroczynny (NCWC), który swą działalnością obejmuje wszystkie narody dotknięte wojną. Wreszcie Kościół zajmuje się akcją katolicko - społeczną.

W katolickim życiu Kościoła stara się przodować Kościół na terenie Stanu Michigan. W stanie tym odbyły się tego lata dwa zjazdy w sprawie Akcji Katolickiej. W Seminarium duchownym w Detroit odbył się w lipcu kurs nauk społecznych dla księży. We wrześniu zaś w Grand Rapids odbył się zjazd świeckich członków Akcji Katolickiej z trzech stanów. Oba te zjazdy są oddzielne, jednak cel jeden mają na oku: misję nowoczesnego Kościoła do przywrócenia moralnych praw Chrystusowych we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. Wiarę na terenie Michigan zaszczepił Ojciec Marquette i inni misjonarze. Detroit był ojczyzną katolicyzmu bezustannie przez blisko 250 lat. W ostatnim wieku liczba katolików z

niewielu grup czcicieli w drewnianych kaplicach wzrosła do przeszło miliona wiernych, posiadających nie mały tysiąc kościołów. Równolegle wzrosły także dzieła uboczne — obok centralnej misji, głoszenia Chrystusa w Kościele — jak dzieło wychowania młodzieży, dzieła miłosierdzia i szpitalnictwa, w końcu społeczna akcja Kościoła. Tej ostatniej są właśnie poświęcone wspomniane zjazdy. Celem ich jest zastanowienie się, jak sprawiedliwość społeczną, głoszoną przez Ewangelię i encyklikę papieskie stosować w tej społeczności, w której się krzyżuje amerykańskie życie społeczne i ekonomiczne. Tutaj koncentruje się ogromny przemysł, na którym się opiera narodowe życie ekonomiczne. Tu tysiące ludzi schodzi się razem, współpracując i współzawodnicząc ze sobą wzajemnie; podlegają oni prawom ludzkim, a równocześnie prawom Bożym. Kościół z ustanowienia Bożego jest tłumaczem praw Bożych, stąd i społeczność pracujących mu podlega. Dlatego urzędują zjazdy poświęcone kwestiom społecznym, w których biorą udział nie tylko kapłani, ale i zwyczajni wierni, czyli laicy. Spodziewać się należy, że zjazdy powyższe wspomniane przyczynią się do rozbudzenia katolickiego życia wśród szerokiego ma robotniczych.

Stanisław Podlewski

Kiedy cichy zakątek sług Bożych stał się piekłem

Z okola staromiejskich kamieniczek i gąszczu, zieleni, tuż nad wysoką i stromą skarpią wiślaną wyrastał potężny masyw murów świątyni i klasztoru SS. Sakramentek — na Nowym Mieście.

Król Jan III Sobieski ufundował go swoim sumptem dla uczczenia zwycięstwa wiedeńskiego, zaś sam zakon siostr Benedyktynek od Przenajświętszego Sakramentu, nazywanych tutaj krótko Sakramentkami — sprowadziła królowa Marysieńka.

Wieża o wybuchu powstania w stolicy przebiła klauzury mury klasztoru i dotarła do tego zacisza.

— „Głębokim wzruszeniem zabili nasze serca”, — będzie wspominała w rozmowie ze mną siostra Celestyna. „Nie były to uczucia radosne. Doprawdy dziwna rzecz. Nasze siostry trzymające się tak bardzo z dala od wszelkiej polityki, nie orientujące się wcale w koniunkturach światowych rozgrywek dyplomatycznych, miały od początku jasną świadomość, że ten poryw patriotyzmu zakończy się jakąś straszną tragedią stolicy. Okrzyki rozradowanych tłumów nie zdołały rozproszyć smutnego nastroju naszych serc... Skupiłyśmy się u stóp ukochanego Jezusa — Hostii, jaśniejącego u nas w monstrancji, aby wypraszać u Pana miłosierdzie i ratunek dla powstańczej Warszawy”.

Z największą radością siostry przyjmowały wieści, że szkoła na Rybakach, to znów Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych, w bliskim sąsiedztwie, zostały zdobyte.

Lecz coraz częściej zaczęły teraz pukać do bramy klasztoru bezdomni uciekinierzy z Woli, i z Rybaków.

Matka przeorysza kazała otworzyć piwnice klasztorne oraz podziemia kościelne. Kuchnie odjad bez przerwy gotowały strawę dla coraz większych rzesz. Co chwila przez korytarze i krużganki klasztoru, tak ciche i pełne skupienia zakonnego, przebiegali łącznicy. Kryli się na chwilę w bujnych krzewach pomidorów i warzyw ogrodowych i znów biegli dalej. Komunikacja z Rybakami w dole Wisły była utrzymana.

Właśnie kilku osobom z personelu sanitarnego i lekarzom udało się wymknąć ze Szpitala Maltańskiego, na Senatorskiej. Przybyli oni na Barokową, gdzie w gmachu Szkoły Pomoczej znajdował się również Szpital Polowy. Linia walk zbliżała się z każdą godziną. Trzeba było ewakuować się z tego miejsca.

Długo medytowano dokąd. Powatała myśl urządzenia szpitala w klasztorze SS. Sakramentek.

Grube mury tej najpiękniejszej świątyni w stolicy napelniały zaufaniem. Oznajmiono o tym szefowi Służby Zdrowia.

— Nic z tego — przesądził z góry. — Dlaczego? — spytywano ze zdziwieniem.

— Sakramentki — to zakon kontemplacyjny. Mają surową regułę i

bardzo ścisłą klauzurę, słuują ja... — Zobaczmy! — powiedzieli na taki respons dr Mora i dr Roma.

W dniu 9 sierpnia pukała do ciężko-klasztornego. Po długiej chwili w okienku judaesa coś drgnęło, jak mrugnięcie powieki, po czym rozległ się głos:

— Z czym Pan Bóg prowadzi? — Od władz powstańczych. Chcemy rozmawiać z matką przełożoną klasztoru.

— Matka przeorysza jest chora, ale ma zastępczynię. Niech państwo pozwolą.

Na to otwiera się powoli ciężka furta, a w niej furtianka siostra Antonina (Borkan), w czarnym weloniku, z białym obramowaniem; mała, złota monstrancja błyszczy na jej pierśiach. W oczach jej tli się wyraźne niepokój. Zaprasza do małej jasnej celi. Na jednej ze ścian znajduje się misterna, kuta, podwójna krata. Po chwili za ścianą słychać powolne kroki i ukazuje się twarz starej mniszki: wysuszona, chuda i żółta jak świeca gromniczna. Jest to matka podprzeorysza Tomea Koperska, uczona, doktor filozofii. W czasie okupacji w tej właśnie rozmównicy za tej kraty prowadziła tajne wykłady psychologii katolickiej, poddawała bezlitosnej analizie i druzgocącym sądom pogańską filozofię i naukę hitlerowską. Oznajmiają nasi lekarze cel swojego przybycia.

— Nie możemy znaleźć odpowiedniego miejsca na szpital polowy. Wszystkie domy prywatne przepełnione są uciekinierami z Woli, Koła i Powązek. Poza tym lokale są nieodpowiednie. Rannych wciąż przybywa.

Wtrącają słowa o miłości bliźniego, o wcielaniu w życie wzniosłych słów nauki Chrystusa.

Matka podprzeorysza na chwilę przeprasza ich i znika na krótko, po czym wchodzi do tej rozmównicy.

Słucha długo bez słowa, w głębokim skupieniu. Dwie głębokie brzozy przedzielili misterną sieć delikatnych zmarszczek na jej czole. Za chwilę padnie jej decyzja, którą będą musieli uszanować nasi lekarze.

— Od trzystu lat, jak nasz zakon istnieje z woli Bożej, nie było precedensu — mówi powoli i dobitnie matka podprzeorysza, aby została złamana klauzura, która jest znamię naszego zakonu...

Doktorowi Morwie wydaje się, że matka podprzeorysza odmawia... chce coś powiedzieć, lecz matka powstrzymała go ruchem drżącej ręki.

— Ale ta chwila dla Polski jest tak osobliwa i tak wielkopomna dla naszej stolicy... to walka dzieci z szatanem... zgadzam się...

Przy tych słowach pierwsza ochoczo podniosła się.

Zagłębili się w mroczne korytarze klasztoru. Siostra furtianka, jak herold przed orszakiem, biegła naprzód, niosąc tę niebywałą alarmującą wieść.

Za kilka godzin była już część tego małego i skromnego klasztoru przygotowana na przyjęcie pacjentów! Pachniało świeżością i czystością. Cała kuchnia zakonna, spiżarnia, apłeczki i wszystkie siostry były do dyspozycji powstańczego szpitala...

Z radością odstąpiły siostry rannym swoje łóżka i pościel, same zadowolili się garstką słomy rozłożoną na ziemi.

Utworzono ośrodek krwiodawców, uruchomiono aparat do transfuzji krwi, zdobyto z trudem surowice wzorcowe dla określania grupy krwi.

Tak powstał szpital zgrupowania „Róg”. Chciano wywieźć biało-czerwoną chorągiew, z czerwonym krzy-

żem, jak to dotąd praktykowało się na wojnie, lecz prosiła matka przełożona, ażeby tego zaniechać. — To nie uchroni, a tylko ściągnie uwagę Niemców na klasztor, stanie się on celem ognia artylerii i nalołów.

Nie bez słusności były słowa Matki przeoryszy.

Właśnie przybył do klasztoru ks. Jan Mackowski, prowincjał OO. Palotynów, zaczął spowiadać siostry w zakrystii.

Od strony Pragi rozległy się głosy, przypominające ryki krowy, po czym następowały straszliwe salwy z salwą. Lawina ognia w jednej chwili spadła na wirydarz klasztoru, zniszczyła wszystkie drzewa, krzewy. Potężny podmuch powyrywał w zakrystii drzwi i okna. Rzucił o posadzkę i ściany zakonnice, stojące przy konfessionalach, poszarpał na nich, na strzępy habity i welony i wszystko osnuł grubym kurzem. Z siostr żadna nie zginęła, natomiast w szpitalu padło kilku rannych i jedna młodzieńka sanitariuszka Zosia.

Następnego dnia dr Morwa dokonywał w refeitary klasztornym młodemu chłopcu ciężkiej operacji, otwarcia jamy brzusznej. W pewnej chwili zza okna domu doszedł go warkot motorów lotniczych, a równocześnie zaczęły padać bomby na placu Nowego Miasta i klasztoru.

Dr Morwa w jakimś odruchu schylił się nad operowanym i swoją osobą zakrył otwarte wnętrze jamy brzusznej operowanego.

Wokół siebie nic nie widział. W oczach i ustach czuł ostre i palące ziarnka piachu i wapna. Dreszcz przechodził go na myśl, że nie będzie mógł przeprowadzić od razu operacji.

Ręką szukał po omacku narzędzi chirurgicznych. Nie znalazł ich. Wszystkie instrumenty i opatrunki zmiołł straszliwy pęd powietrza na ziemię i przemieszał z gruzem i kurzem.

Natychmiast siostry zaczęły nanowosy sterylizować narzędzia, przynieśli nowe opatrunki, przepłókiwano gruntownie otwartą jamę brzusznaną operowanego, roztworem fizjologicznym.

Ogromnie przedłużało to operację i mogło fatalnie odbić się to na zdrowiu pacjenta. Lecz nie było innej rady.

Na szczęście operacja się udała. Nadludzko zmęczony usiadł dr Morwa na chwilę. Na jego czole perlily się krople potu. Pacjent, gdy przyszedł do przytomności, nawet nie wiedział, że był naloł.

Teraz przeniesiono salę operacyjną do jednej z modlitewnych kaplic. Ledwie zrobiono, jaki taki porządek i dr Morwa przystąpił do nowej operacji, łapania przerwanej tętnicy, gdy znów zatrzęsły się mury. Odezwały się tym razem salwowe moździerze, sławne „krowy”. Znowu ogromne spustoszenie. Wyrwane zostają framugi, drzwi i okna, cała kaplica zdemolowana. Nie można było już dalej ryzykować tutaj robienia operacji.

Lekarz postanawia przenieść szpital do podziemia kościoła SS. Sakramentek. Od kilku wieków leżą tutaj pogrzebane w piachu, bez żadnego śladu zakonnice.

Stare grube mury, z półkolistymi sklepieniami, budziły zaufanie. W całym tym podziemiu nie ma okien, tylko dwa wejścia, więc hulają przeciągi na wszystkie strony.

Nieustannie znoszą rannych. Przykają więzy klauzury, surowa zakonna reguła. Matki i siostry schodzą do podziemia.

Zapalono duże gromniczne świece. Wciąż napływają ranni powstańcy i cywili. Układają ich na ziemi.

W jednym miejscu na sklepieniu wkręcono wielką żarówkę. Bez przerwy odbywają się operacje i opatrunki.

Pod obszernymi półkolistymi sklepieniami panuje półmrok. Nieustannie śpiewają zakonnice i ludność cywilna „Święty Boże, święty mocny”, „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. To znów zakonnice chóralnie odmawiają kanoniczne pacierz. Nieustannie rozlegają się przejmujące ryki, jęki operowanych bez narkozy, błagalne prośby, „dobijcie mnie, dobijcie, nie mordujcie!” Odgłosy eksplozji i wybuchów, stokroć tutaj spotęgowane, płacz, krzyki, przekleństwa, pługawe słowa i wyrazy z gwary złodziei, żargonu uliczników i pijanych dorożkarzy, znoszonych tutaj cywilów, nie umiejących panować nad swoimi nerwami i cierpieniami, stwarzają niesamowity szum, jakąś gmatwaninę dźwięków, przejmującą do głębi symfonię. Przytłaczający nastrój potęguje jeszcze gorąco, duszność, zapach chloroformu.

Nagle przeciągi gaszą świece. Zalegają grobowe ciemności.

W pewnej chwili u wejścia słychać jakiegoś głośnie krzyki. Grupa dziewcząt i chłopców z batalionu „Gustaw” przyniosła ciężką ranną łączniczkę Hanke. (Tuszek Franciszka), 16 letnie dziewczátko, sierotę, będącą na wychowaniu u ciotki volksdeutschki. Pod ogniem mieści ją do szpitala Jana Bożego, lecz był to dzień sądu ostatecznego dla chorych tego szpitala. Cały stał w płomieniach i w ogniu dział. Furia biegali wszędzie. Rzucali się w płomienie lub szli pod lufy czołgów.

Przynieśli więc ranną tutaj. Proszą o ratunek. Lekarze mają pełne ręce roboty. Wciąż napływają ranni. Trzeba tamować krew. Dr Morwa na chwilę odrywa się od stołu operacyjnego, o ile takiej nazwy może dostąpić ciężka klasztorna ława, wiecznie się kołysząca na nierównej ziemi.

Twarz rannej dziewczyny jest jak gdyby bez kropli krwi, tętna już się nie wyczuwa. W takich warunkach nie sposób dokonać laparotomii. Trzeba ją podtrzymać jakieś dwie godziny, do momentu gdy uporządkują narzędzia. W czasie ostatniego nalołu, rozbite zostały wszystkie szklane instrumenty, naczynia, tylko jakimś cudem ocalała jedna strzykawka. Przy pomocy cytrynianu sodu, t. j. środka przeciw krzepnięciu krwi, usiłuje dr Morwa za wszelką cenę utrzymać przy życiu dziewczynę.

Por. Eugeniusz, medyk, krwiodawca, siada na ziemi obok rannej, a dr Morwa, jedyną strzykawką zaczyna przelaczać krew od niego w żyły rannej łączniczki.

Pot spływa mu z czoła strumieniami, wciąż gasną świece od przeciągów, wciąż czegoś mu potrzeba, czegoś brak pod ręką.

Głos jego ginie w chóralnym odmawianiu pacierzy kanonicznych zakonnic, w szeleście papierowych bandażów. Nadludzkiem wysiłkiem nerwów udaje się mu przetoczyć tylko 150 cm, lecz krew krzepnie.

Hanka umiera.

— Choć tyle zrobiłem operacji — powiada dr Morwa — śmierć tej dziewczyny uczyniła na mnie dziwne wrażenie, trudno mi je dotąd określić.

Ledwie złożyli ją ze stołu operacyjnego, dr Morwa mechanicznie, jak automat schyla się nad nowym rannym. Tym razem rozpoczął amputację nogi. Czuje dziwny swąd i dym.

Naraz podchodzi do niego siostra Celestyna (Wielowiejska), sakrament-

ka i szepcze mu na ucho, tak, aby nikt nie mógł dosłyszeć.

— Panie doktorze pali się kościół nad nami.

— Zameldować o tym dowódcy batalionu. Przygotować się do ewakuacji. Rzucił rozkazy, nie odrywając wzroku od pacjentów.

Kiedy dokończył operacji, wyszedł z siostrą na cmentarz kościelny. Wieżyczka stała w płomieniach, pocisk uderzył w nią. Zagrozało niebezpieczeństwo runięcia z wysoka ciężkiej wieżyczki na posadzkę kościelną, a zatem możliwość zawalenia się podziemia. Ponadto pożar mógł ogarnąć cały kościół i klasztor.

Zjawili się ludzie z kompanii „Anna” i harcerek z batalionu „Gustaw”.

Wśród gryzącego dymu, trzasku wiązań i krokwi, poprzez strugi ciekącej wody, z rozbitych rur wodociągowych, ogromnie zmęczone sanitariuszki z trudem nosiły rannych do gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości i na Kilińskiego, gdzie znajdowały się również szpitale polowe.

Pożar wciąż trwał i rozszerzał się. Podziemia, grobowce, nie mogły dawać pewnego schronienia. Przeprowadzają więc siostry Matkę przełożoną i starsze zgromadzenia do piwnicy, pod budynkiem nowociątu — ongiś pałacu Mokronowskich.

Młodsze siostry, z kilku ludźmi czołowały na strychach. Gasily coraz wybuchające pożary. Nie szczędziły swoich sił i zdrowia, byle tylko uratować klasztor. Inne znów siostry Katarzyna Kuźmińska, Elżbieta Naruk i Cecylia Miętkowska, nie zważając na ogień wprost na oczach nieprzyjaciela nosiły odważnie wodę z Mostowej. Zlewały nią obficie kościelną posadzkę i gasiły głównie spadające z dachu.

Od wieżyczki zajęło się wewnętrzne belkowanie kopuły. Nie można było już tam dostać się, aby zlokalizować pożar.

Zapadł pogodny letni wieczór sierpniowy. Mieszkańcy zaczęli z ulgą oddychać. Wielu z nich wyległo na powierzchnie. Uderzył ich niezwykły, groźny widok.

Ogromna miedziana kopuła, rozpalona do czerwoności błyszczała w ciemnościach nocy, jak gdyby zawieszona w powietrzu, a nad nią unosił się miedziany Krzyż kościelny, w ognistych językach.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

KS. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

**DZIEJE PAWŁA
z TARSU**

Obszerna (652 str.) monografia o świętym Pawle, Apostole narodów, z uwzględnieniem badań archeologicznych i religioznawczych.

Warszawa — 1947

Micyna Księgarska:

Marszałkowska 34

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie

Już wyszła z druku książka prokuratorów: **Jerzego Sawickiego i Tadusza Cyprjana p.l.:**
**„PRAWO NORYMERSKIE
BILANS I PERSPEKTYWY”**
poprzedzone wstępem W. Groza.
Wydawnictwo Kuthana.
Obejmujące przeszło 600 stron druku dzieło, porusza najbardziej istotne zagadnienia moralno-prawne i ze względu na opracowanie rozdziałów Zbrodnie przeciw ludzkości, daleko wykracza poza sam problem procesu norymberskiego. Książka jest tłumaczona na język angielski i czeski.

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

14

Stefan Kisielewski (Kisiel)

— Muszę. Jeszcze nie wszystkie ptaszki są w gnieździe. Nie trzeba straszyć za wcześnie. Twoją rolą będzie uspokoić ich, upewnić, że wszystko w porządku, przekonać, że moja obecność tutaj poszła na marne, że nic nie zwęszyłem.

— A jeśli mi nie uwierza?
— Nie ma obawy. Tobie uwierza. Więc wróć do Windala. Ja nie mam teraz czasu.
— Dokądże idziesz?
— Do Zakładu Chemii.

XIII.

Twarz przedwcześnie postarzała, zwiędłe usta ujęte w dwie gorzkie choć zarazem nieco mefistofelesowskie, drwiące fałdy, siwe włosy na skroniach i głęboko zapadłe, ciemne, błyszczące oczy, w których płaza ponury, gniewny blask — do tego głos głuchy, bezbarwny, pozbawiony rezonansu, jakby dolatujący zza grobu — tak oto przedstawiał się woźny Zakładu Chemii. Komisarz przyglądał mu się bacznie: za pierwszym razem nie zwrócił był na niego uwagi — nie wiedział wtedy jeszcze o roli agenta Wywiadu Wojskowego, jaką pełnił ten człowiek. Twarz ciekawa, chociaż trochę za bardzo, uderzająco demoniczna — niczym z opery lub z filmu. W każdym razie uprzejmością się nie odznaczał — traktował komisarza jako zbędnego intruza, chociaż ten nie omieszkał przedstawić mu się, robiąc aluzję do pewnego rodzaju koleżeństwa, które ich łączyło.

Zakład Chemii, wielki, luksusowo urządzone gmach drzemał w uroczystym milczeniu. Wykładów od czasów śmierci profesora Galarda jeszcze nie wznowiono, w tej chwili zaś, według skąpych relacji „woźnego“ w całym budynku nie było w ogóle nikogo. Inżynier Hagewand wyszedł rano i dotąd nie powrócił, panna Alicja nieobecna jest od wczoraj. Na pytanie komisarza, czy jakieś auto ciężarowe przyjeżdżało dziś rano do Zakładu, „woźny“ odpowiedział przeczącym wzruszeniem ramion: nie, nikt nie przyjeżdżał, nie się nie działo, spokój, cisza, bezruch. Mówiąc to wszystko patrzył pośpiesznie gorączkami oczami gdzieś jakby ponad głowę Gromela, aż ten odwrócił się nagle, chcąc zobaczyć, czy ktoś za nim nie stoi. Lecz nie: wzrok tamtego utkwił w pustce. Dziwny agent dziwnego zwierzchnika — Gromel przypomniał sobie osobliwe zachowanie się pułkownika Hollena na porannej konferencji u ministra. W tym wszystkim kryła się jakaś tajemnica — naprawdę świat od paru dni to znaczy od czasu zamordowania profesora Galarda (dziś mamy wtorek — przy pominięciu sobie komisarz — zbrodnię popełniono w sobotę) świat zatem stał się najeżony zagadkami i tajemnicami jak nigdy dotąd, lecz w tej chwili Gromel przeczuwał już zasadniczy zrab sprawę — niedługo już skończy się błądzenie — tylko ten dziwny niby woźny przeszkadza i opóźnia wyjaśnienie pewnego szczegółu sprawy. Szczegół — ale od tego szczegółu zależy może życie milionów.

Komisarz rozejrzył się bezradnie — przez chwilę miał wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu, że powietrze zmieniło się w jakąś gęstą substancję, w której grzęzną nogi i ręce, w której nie można zrobić najmniejszego ruchu — podobne uczucie miewamy czasem we śnie. Zbudził się, zbudził za wszelką cenę, pomyślał rozpaczliwie. Jeszcze raz rozejrzył się gwałtownie: stali oto w wielkim, marmurowym hallu, na posadzce leżała biała, słoneczna plama — opadające już ku zachodowi słońce mozołnie filtrowało swe promienie przez wielkie, matowe szyby gmachu. Obok komisarza stał człowiek siwy, zgarbiony, choć właściwie nie stary; ciemny lecz intensywny, diamentowy jakby blask jego oczu biegł gdzieś bokami, omiął rozmówcę — jednocześnie Gromel czuł, że wzrok ten odgrywa niewątpliwą rolę przy narastaniu dziwnego nastroju beznadziejności i zatrzymania się wszystkiego w czasie i przestrzeni, nastroju,

który kazał mu uznać ten zwyczajny przecież choć luksusowy hall za miejsce niezwyczajne, ba — nawet za miejsce niebezpieczne. Uwaga! — zawołało coś bez dźwięku wewnątrz komisarza; Gromel ocknął się i zdrygnął — znał ten głos. Uwaga — wróg jest blisko! — ale gdzie? Czyżby wrogiem był ten szpakowaty, obojętny człowiek o ponurym blasku w oczach? Nagle gniew zakipiał w komisarzu. Przeszkadza mi. Przeszkadza! A przede wszystkim stoi tu bezbronny — mógłbym go w tej chwili zastrzelić, choćby z kieszeni, nie wyjmując ręki. Nie wierzę już nikomu, nikomu!

Po długiej chwili poświęconej na wewnętrzne opanowanie się Gromel przemówił sucho i stanowczo.

— Chcę zwiedzić piwnice Zakładu, w których zmagazynowane są przyrządy z laboratorium.

Oczy „woźnego“ przelotnie spojrzały na twarz komisarza i znów powędrowały w dal. Odpowiedział po długiej chwili.

— To jest wzbronione.
— To jest wzbronione, ale nie mnie — krzyknął prawie komisarz. — Byłem dziś rano na konferencji w ministerstwie z pańskim szefem, pułkownikiem Hollonem i ustaliliśmy, że między nami nie ma żadnych tajemnic. Proszę mnie natychmiast połączyć z pułkownikiem!

— To niepotrzebne.
Cóż to znaczy?!

Pułkownika Hollona w biurze teraz nie ma. Ale ostatecznie mogę panu, komisarzu, pokazać te piwnice. Tylko proszę nie mieć do mnie pretensji jeśli...

— Jeśli co?!

— Jeśli pan w nich nic nie znajdzie — to znaczy nie ciekawego. Przeszukaliśmy je wielokrotnie.
Poszli w głąb hallu, woźny zniknął z pekiem kluczy. W hallu robiło się już szaro, tylko na marmurowych schodach gasły ostatnie refleksy słońca. Komisarz poczuł nagły odpływ energii i chęci do życia. Nawet zejście do piwnic wydało mu się bez sensu. Poczł tam chodzić? — przecież trup bez głowy napewno dobrze jest ukryty. Zresztą informacje nieznajomej z telefonu jak dotąd nie okazywały się prawdziwe. Ważniejsza była tamta sprawa — Lwi Zaulek. Szkoda tracić czas na piwnice.

Ale już było zapóźno. Po krętych, żelaznych schodkach mozołnie zszli na dół. Wszędzie masę światła elektrycznego, wielkie, przestronne, betonowe korytarze, nad głową biegły jakieś druty, kable, liny. Woźny co chwila otwierał nowe drzwi i wchodził do podziemnych pokoiów, zastawionych pakami, dziwnymi naczyniami, kolbami szklanymi wielkości człowieka, metalowymi częściami wielkich maszyn, słojami, puszkami, retortami, zawalonych rurami, szkłem i blachą. Szli i szli długo: podziemie stanowiło dwa wielkie, skrzyżowane korytarze — pośrodku skrzyżowania, kręto do góry wspinęły się żelazne schodki, którymi się tu dostali. W tych korytarzach znajdowało się mnóstwo większych i mniejszych pokoi bez okien — niektóre z nich miały wejście we wgłębionych niszach, inne wprost z korytarza. Przejrzeli je wszystkie — komisarzowi kręciło się w głowie: nie znał się na tych przyrządach, na tym wszystkim, nic z tego nie rozumiał. Ale nie o to szło, jego rola była inna: t r z e b a o d n a l e ż ć t r u p a.

Doszli właśnie do jednego z końców po przecznym korytarza i zatrzymali się przy betonowej ścianie, z której woźny nieznacznie ruchem wyczarował natychmiast elektryczne światło: płynęło ono gdzieś z góry, z ukrytej we wnęcie żarówki. Komisarz oparł się o ścianę i patrzył w tego zagadkowego człowieka. Dziwna rzecz: teraz czuł się bezpieczny — niebezpieczeństwo jakby pozostało na górze, w hallu.

— A gdzie jest pańska sygnalizacja w razie nagłego alarmu? — spytał niewinnie.

— Sygnalizacja?

— Pułkownik Hollen wspominał mi, że posiada pan urządzenie alarmowe, połączone bezpośrednio z centralą Wywiadu. Zamiast odpowiedzi czarodziej zrobił parę nieznacznych ruchów i nagle coś zgrzytnęło w ścianie: metalowa płyta, inkrustowana tutaj w beton, usunęła się i odsłoniła małą wnękę na wysokości piersi człowieka. We wnęcie stało kilka dziwnych przyrządów, wśród nich mikrofon i aparat telefoniczny.

— To jest mikrofon podsłuchu, który zainstalowany jest w laboratorium — mówił głucho woźny — a ten telefon łączy mnie bezpośrednio z Centralą Wywiadu. Mam zresztą szereg takich aparatów, a prócz tego w różnych miejscach gmachu są ukryte kontakty, za ich pomocą można dać sygnał alarmowy, przekazywany telefonicznie do biur Wywiadu. Jest też aparat telewizyjny.

— Czy pan tu pracuje sam?
— Tak.
— Czy inżynier Hagewand wie o pańskiej roli?
— Tak.
— A o istnieniu tych aparatów?
— Nie.
— Profesor Galard wiedział o nich?
— Galard wiedział o wszystkim.
— Czy pan jest pewien, że nie przywożono tu dzisiaj żadnych zwłok?

„Woźny“ znów skupił blaski swych ciemnych oczu na komisarzu. We wzroku jego były w tej chwili rozmaite rzeczy — gniew, politowanie, podziw i coś jeszcze, coś trudnego do zdefiniowania, jakby poczucie wyższości, niezmierzonej wyższości.

— Jestem pewien — odrzekł powoli.

Chwilę milczeli: komisarz wsłuchiwał się w piwniczną ciszę i w pulsowanie własnej krwi. Znowu jakby czas się zatrzymał w miejscu. Przed oczami był długi, długi, oświetlony oslepiająco białymi żarówkami korytarz. Gromel starał się skupić swoje władze psychiczne, swoją intuicję, przywołać swój piąty czy szósty zmysł i przezwyciężyć martwość, którą roztaczała wokół osoba tego człowieka. I nagle zrozumiał, przed wewnętrznymi jego oczyma zabłysło światło: tamten coś wie, tamten coś ukrywa, ale z w i o k n a p e w n o t u n i e m a.

Był wielkomięjski zmierzch: czerwone i fioletowe kolory neonowych reklam, nанизane na niebieskość nieba i fioletową szarobiel powietrza, tworzyły dekoracyjną oprawę dla tłumnego rozgwaru wielkomięjskiego życia, które wylało się na ulice i sześciło milionem nóg, dźwięczało milionem głosów, patrzyło milionem oczu, szumiło i huczało przetykane ostrym brzmieniem trąbek samochodowych, wyciem syren, dzwonekami tramwajów. Miasto, moje miasto, nie spodziewające się niczego, miasto nieświadome niebezpieczeństwa — myślał komisarz, patrząc na czarną falę tłumy ze środka jezdnii — z taksówki. Pędzili wśród szarej, ruchomej masy samochodów przez ulicę Wielkich Wodzów: był zimny wieczór uliczny, wieczer, pokus i samotności. Żadna zaś samotność nie może się porównać z samotnością Wielkiego Miasta.

Minęli garaż Hofmeistera: komisarzowi przesunęła się przed oczyma postać „goryla“ tak jak go widział ostatnio: w koszuli, z nabrzmiałymi, potężnymi muskułami wytatuowanymi ramionami. Pędzili dalej, mijając natłoczone skrzyżowania ulic i drzemające, zwiędłe trawniki bulwarów. Do Wydziału — jak najprędzej. Gorączka czynu trawiła i paliła komisarza Gromela. Dostyc już bierności i namysłów: teraz wiedział, co ma zrobić!

Było już niemal ciemno, gdy zajechali przed bramę Wydziału Śledczego. Gromel szybko przebiegł korytarze. Koło drzwi jego biura stał sierżant Windal. Na widok komisarza sprężył się i zasalutował jak na defiladzie. — Bałwan! — pomyślał Gromel i chciał go minąć, gdy w ponurej zwy-

kle i pozbawionej wyrazu twarzy sierżanta uderzyła go coś i skłoniło do zatrzymania się.

— Melduję posłusznie, panie komisarzu, — zahuczał Windal — że przed godziną przywieziono trupa!

Komisarz cofnął się o pół kroku.

— Co takiego?! Oszaleliście?!

— Melduję, panie komisarzu, że jest tak jak mówię.

Jakiego trupa?!

— Dwóch tragarzy z dworca przyniosło skrzynię, zaadresowaną do pana komisarza: ktoś ich wynajął, żeby ją przewieźli. Ponieważ ze skrzyni śmierdziało, więc otworzyliśmy ją. Jest w niej pokrajany trup bez głowy. Mężczyzna.

Komisarz stał chwilę nieruchomo.

— Gdzież ta skrzynia?

— Melduję, panie komisarzu, że na dole, w dyżurce.

Komisarz sztwym, mechanicznym krokiem skierował się w stronę schodów — sierżant Windal szedł za nim.

W przestronnej sali, gdzie dyżurowała zazwyczaj zmiana alarmowa nie było w tej chwili nikogo — pełniący służbę policjanci woleli siedzieć w korytarzu. Nic w tym zresztą dziwnego, bowiem ze stojącej w rogu sali otwartej drewnianej skrzyni wydmuchwał się niezbyt mocny ale dotkliwy, słodkawy smród. Komisarz mimo to podszedł blisko i patrzył. Widok był straszny; nagle ciało pokrajano, pościartowano na sztuki. Osobno leżały nogi, ręce, osobno straszliwie poprzerzynane części kadłuba. Przytym poszczególnym członem potwornie zbeszczeszczonych ciała były dodatkowo zmasakrowane, pokłute, podziurawione, krwawe strzępy pozdzieranej skóry walały się pomiędzy częściami tego, co było niedawno człowiekiem. Kadłub był niemal całkowicie obdarty ze skóry — okropne, pozieleniałe mięso puchło, zda się, w oczach.

Komisarz stał blisko, nachylał się nad skrzynią, lecz w twarzy jego tym razem nie było wstrętu, tylko wyraz skoncentrowanej uwagi i namysłu; takie skoncentrowanie mobilizuje przez chwilę wszystkie władze umysłowe, jak soczewka skupia promień w jednym punkcie, aby wywołać pożar. Na czole komisarza widniała pionowa zmarszczka — sierżant Windal patrzył weń jak w tęczę, zdumiony, nie nie pojmujący, ale pełen szacunku dla widniejącej na twarzy szefa pracy wewnętrznej. Wtem otworzył szeroko oczy ze zdumienia i mrugnął nimi kilka razy. Napięcie z twarzy komisarza ustąpiło, ryby jego rozluźniły się, wypogodziły i nagle — czyż to możliwe — ależ tak, na pewno — komisarz Gromel śmiał się, śmiał się wesoło, dobrodusznie, triumfująco. Odwrócił twarz od zwłok i patrzył na sierżanta, a oczy jego się śmiały.

Zrozumiałem sierżancie — nareszcie zrozumiałem! Głupiec ze mnie był straszny, ale teraz zrozumiałem! Wszystko już wiem. To te ryby mi nasunęły. Ryby — rozumiecie — ryby?! No mówcież — rozumiecie?!

— Tak jest panie komisarzu — odpowiedział sierżant, chociaż nie rozumiał zgoła nic. — Ryby!

W komisarza wstąpiła nieznająca oporu energia.

— Prędko sierżancie, mamy mało czasu. Potrzeba mi dwudziestu ludzi z nocnej zmiany i trzy samochody. Wziąć automaty, latarki, liny — wszystko. Wziąć też kilka par kajdanek. W ciągu pół godziny zbiórka na podwórzu — ja sam poprowadzę. Te skrzynie zamknąć i odesłać ciała do doktora Alena. Prędko — czas jest drogi. Zrozumiełiście?!

— Tak jest panie komisarzu — ciężki sierżant Windal pofrunął niemal do drzwi i za chwilę potężny jego bas rozbrzmiał się po korytarzach.

XIV

Wieczór był ciemny i zimny — gwiazdy wydawały się nikle, maleńkie, zagubione w głębi i ogromie czerności, jaka zawisła nad miastem Ekipa złożona z trzech samochodów Wydziału Śledczego zatrzymała się na rogu jednej z ulic, stanowiących granicę Dzielnicy Wschodniej.

Janina Siwkowska

KOLEDA W PAŁACU PACA

w R. P. 1847

„DZIŚ RANO ZIMNA STOPNI 4. W CZORAJ W POŁUDNIE 5”.

Lubo jednak mroźnik trzyma, a wiatr w surowości zaryły aurą dziesięć cechą nieustępliwości piętnuje — sanki na posrebranych szyćcach, oraz podwójne kocz - karęty na saniach, zdane na podróże, tak licznie w okresie Godów po stolicy naszej odprowadzane — cicho suną po zasłanych pierzem niebiańskim ulicach, dzwoniąc tylko, we włosy końskie kolorowane zdobnymi, hałasując, a radości prawdziwie kółdowej przydając. A przecie i tyle modne na teraz chodniki kamienne i marmurowe roją się od wielkiej „massy” pieszej publiczności, tak dorosłej, jako i owej, z najmilszych dziecięcych złożonej, a chcącej pospołu ze starszymi solennością świąteczną odprowadzić. — Różnobarbne palety, salopy pospolite oraz salopy Garrik, roudiere i persanki kwitną kwieciami żywym, ruchliwym, ukraszając tym sposobem biel opłatkową świeżo osypanych śniegiem jezdni ulicznych i placów — w jasłkową ucieśność i pogodę. A nad tłumem — tu i ówdzie gwiazda betleemska, złocisto-różowa, przemysłnie klejona, wizerunkiem Dzieciątka ornametowana; a to cholpcy - kółdnicy, starym zwyczajem z pieśni pobożną na ustach

po domach chodzący; a niejedni to ci i ubrani za anioła, za diabła, albo ci i za złego Heroda; a i poniekąd jeszcze przyobleczony za zwierzę, które co chwila ryknie, albo ci i beknie na pamiątkę Betleemu, aż w dziecięcych, ulicami podążających, serce martwieje, na co i słowa spokojujące starszych — wagi nie mają. A przecie uspokoić się onym pociechom najmilszym naszym wypada, boć już i kościół Karmelitów, gdzie „Kolenda z chórem Aniołów, z towarzyszeniem harf i gitar komp.: J. Chwałiboga” i gdzie Dzieciątko Niebieskie, w paradne pieluszki owinięte, czuwa, zasnąć nie mogąc bez onej kompanii szczerzej, co i piernik z różową polewą i orzech pozostawia kryjomo w zarękawku króliczym znieść, a w kółdęczkę ubożuchną włożyć. A nie tylko u Karmelitów, bo i u Bernardynów Gwardian kłęcząc, za różową wstążeczkę pociągają i śpiewając — dziecięcki Dzieciątko usypiać przytacza.

A przecie jeszcze mnogość kościołów odwiedzić potrzeba, jako że u XX. Kapucynów, przy ulicy Miodowej, wystawione Jasła co wybredniejsze i u OO. Reformatorów, gdzie w pierwszej na lewo, licząc od Wielkiego Oltarza, framudze, Jasła paradne, ba, najparadniej (nie uwłacza-

jąc starowności innych kościołów) są w Warszawie przysposobiane. A przy obleczenie materialne figurę onych, z epoki Augusta III-go, króla, pochodzących — aż złotem kapie, takie ci są świetności owe paradne płaszcze, kubraki, menty, kornety, fon tazy i wszelkie gieźta a kryzy. A figurki niby żywe i dyskursy a egzageracje między sobą mające. I mnogość figurę w jasłkach onych reformackich nieprzelczona, bo do Świętej Rodziny nie tylko pasterze i króle się cisną, aleć przecie i panowie w pojazdach jadą i szlachta, mieszczanństwo oraz i chłopci bieją i oraz Żydów nie braknie i przekupek i jeszcze też i regimentów całych polskiej gwardii, chorągwi usarskich i jazdy węgierskiej; a są i armaty. A jeszcze też i zwierzęta, jako to słonie i wielbłądy, które się z hufcami perskimi, arabskimi i murzyńskimi za Trzema Królmi przywlekły. I jeszcze nad szopą perspektywą Nieba otwartego; a to ze setką Aniołów.

Już też i Kółda Krogulskiego na chórze zagrzmiała, aż płomień świec się rozdygotał i aż Orca Publiczności Warszawskiej, jak dzwony kościelne zabiły.

Przecie cisza i skupienie tak między figurami, jako i między żywymi tu pobożnymi. A nie tak tu bywało

inszymi laty, jak to dziś szacowni dziadowie i babki opowiadają, kiedy to przed kilkudziesięciami laty figurki a z nimi i ludzie po kościołach swawolili, za co od biskupów wyrzuceni ze świątyni zostali. Oto braciśzkowie zakonni przez dziury w deskach i w rusztowaniu ucieśne figle z figurkami czynili, ruszając nimi, tedy kościół na theatrum sposobając. Przecie Publiczność ponoć na ambony na ołtarze Pańskie i na figury świętych wlażyła, a śmiechu i krzyków tyle było, że aż dziady kościelne i poniekąd braciśzkowie kija się imać musieli.

Wszelako jeszcze w terażniejszym, 1847-ym roku, inna niespodzianka, a prawdziwie, że artystowskim gustem sprawiona, Warszawian na Gody spotkała. Oto JP. Schmidt, Mechanik, za opłatą wniósł po zł. p. 1 gr. 5, piękną „Kolendę” miastu naszemu ukazał. Przeto w pałacu Paca, przy ul. Miodowej Nro 493, na zewnątrz w oknie, „wystawioną jest figura uderzająca w dzwonek i chłopczyk z długimi włosami”. Tedy tłumy Publiczności bieją do salki, w pobok sali koncertowej miejsce malającej, gdzie uskuteczanie jest widowisko wznieście się ducha chrześcijańskiego na celu mające. A jest to widowisko „Figur woskowych ruchomych naturalnej wielkości”. A składa się ono

z 3-ech części, tedy z Wieczery Pańskiej, według tyle sławnego mistrza i założyciela Szkoły malarskiej florenckiej Leonarda da Vinci (Vinci)... Ach, szloch powszechny zebranych towarzyszy tej scenie tak drażliwej. „Artysta z nadzwyczajnym talentem wydał w obliczu Apostołów wyraz cie kawooci i przerażenia. ZBAWICIEL świata JEZUS CHRYSZTUS wznosi ręce i skłania Przenajświętszą głowę...”. O, z jaką też niechęcią i pomrukiem okazuje się Publiczność Warszawska, gdy „Judas Iskariot zdrajca ścisła w ręku worek z pieniędźmi i w stół uderzał”.

A druga część widowiska to Góra Oliwna. „Ta wiekopomna opoka skopioną ma być z natury”. JEZUS kłęk. Anioł z kielichem ukazuje się na obłoku.

Część trzecia wyobraża „pożegnanie Familji Świętej”. JEZUS po'eca Janowi Matkę swą, która kilkanaście razy zasłania oczy chustką i lzy ociera. Aniołowie unoszą się w powietrzu”. A w oddaleniu, niby z nieba słyszany głos organów.

Wszystkie Święte Osoby odziane są w owocną szatę, a „każdemu poruszeniu towarzyszy stosowne i poważne objaśnienie”.

O Panu Schmidt niech będą dzięki za uszczęśliwienie nas tym widowiskiem, za ten śliczny dla Warszawy podarek, za tę prawdziwie rzewną „Kolendę”, która w pamięci naszej stolicy na długie pozostanie lata. Pan Schmidt godnie zasłużył nie tylko na miano dobrze usposobionego w swym fachu artysty, lecz i na imię poctiwego człowieka. Ach, ślachetność jego duszy „malowniczą” jest nawet na licach jego. Niech mu Bóg wynadgrodzi!

Czytelnik uważa że ...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

„Przemarsz przez piekło”, jak i fragmenty z walki w staromiejskiej dzielnicy, zamieszczone w „Dziś i Jutro”, wciąż wywołują żywy rezonans, napływają nieustannie listy z pytaniami P. T. Czytelników o swoich najbliższych i towarzyszy broni.

Na wiele listów i pytań nie jestem w stanie odpowiedzieć — może więc uczynią to sami Czytelnicy. Odpowiedzi proszę kierować na adres Redakcji „Dziś i Jutro”.

Pani Olga Bańkowska, Łódź, ul. Wólczńska 37, m. 11, pragnie dowiedzieć się o swojej córce Jance, pseudonim Jodła. Prowadziła ona kuchnię powstańca przy ul. Czerniakowskiej, potem była łączniczką. W dniach 24—26 września dostała się w ręce gestapo, zawieziona na Szucha i odtąd ślad po niej zaginął.

Pan mgr Włodzimierz Krzyżniak, Poznań, ul. Focha 105, zapytuje o Krystynę Bełżyńską, z domu Krzyżniak, wdowę po śp. Stanisławie, więźniu Oświęcimia, poległego w partyzance, w maju 1944 r. — matka dwójga małych dzieci. Była łączniczką w zgrupowaniu „Leśnik”. Walczyła na Starówce, a potem na Czerniakowie, z grupą bojową ppłk. Radosława. Ostatnio widziano ją 20 września. Odtąd nie daje znaku życia. Zamierzała przejść z por. Bolkiem, ze zgrupowania „Leśnik”, na prawy brzeg Wisły.

Pani Janina Czalkowska, Łódź, ul. Gdańska 35, zapytuje o swojego syna sanitariusza Zbigniewa, przebywał na Starym Mieście, w szpitalu Długa Nr 7.

Pani Anna Dąbrowska, Warszawa, ul. Noakowskiego Nr 10 m. 43, poszukuje podchr. Gustawa-Popiela (Jan Roguski), z batalionu „Zośka”, walczył na Starówce i na Czerniakowie, w rejonie Wilanowskiej. Był widziany 20 września przez kolegę z bat. „Zośka”. Miał przedostać się na Pragę.

Pani Janina Kowalska, Płock, Gimnazjum Ogrodnicze. Pragnie dowiedzieć się o dwóch swoich córkach. Sanitariuszka Maryna (Maria Kowalska). Była sanitariuszką w kompanii „Giewont”, batl. „Zośka”. Wal-

czyła na Woli, otrzymała „Krzyż Walecznych”. W dniu 30 sierpnia została zasypana na kwaterze (po uderzeniu bomby).

Starsza córka, łączniczka sztabowa Irka (Irena Kowalska) z batalionu „Zośka”, walczyła na Starówce. Dnia 5 września wzięła ślub z podchr.

Czarnym Jasiem (Jan Wutke), który zginął 19 września na Wilanowskiej.

W kilka dni później grupa powstańców i żołnierzy Wojska Polskiego, ciężko skrwawiona dostała się w ręce Niemców. Pędzą ich gestapowcy w Aleje Szucha, po czym przewożą na Wolę, trzymają w podziemiach tamtejszego kościoła. Po zbadaniu chłopców oddzielono od dziewcząt. Około południa rannych chłopców załadowano do samochodu, a zdrowych ustawiono do odmarszu.

Grupa dziewcząt stała pod murem, z lewej strony kościoła, tam gdzie dziś są koszarzy. Odjeżdżającym i odchodzącym chłopcom przesyłały rękoma pożegnania. Rannych chłopców odwieziono do Teresina, a zdrowych do Skierniewic.

A dziewczęta zostały. I dalej już nic nie wiadomo.

Czy je rozstrzelano czy gdzie zawleczono?

Było ich sześć.

1. Łączniczka Irena (Irena Kowalska-Wutke), łączniczka z baonu „Zośka”, lat 24, średniego wzrostu, blondynka, ranna w pierś i w szyję.

2. Łączniczka Ola (Barbara Plebańska), z batalionu „Zośka”, wysoka, szczupła blondynka, ostrzyżona po męsku, w bryczesach i w butach oficerskich.

3. Łączniczka Grażyna (Grażyna Zasadzka), z batalionu „Zośka”, wysoka, tęga blondynka, w panterce.

4. Łączniczka Hanka, z batalionu „Parasol”, nie można ustalić nazwiska.

5. Łączniczka Zula (Krystyna Niży-

ska), szesnastoletnie dziewczętko z grupy najmłodszych harcerek żoliborskich, o ciemnych włosach, z przewieszoną przez ramię torbą z maski gazowej.

6. Sanitariuszka Marysia, z batalionu „Parasol”. Nazwiska nie dało się ustalić.

Pani Boguszeńska, Wrocław, zapytuje o swojego brata kpt. Podhoreckiego (Józef Hłasko). Był on oficerem do specjalnych zleceń w zgrupowaniu „Broda 53”.

Pani Janina Jankowska, Warszawa, Sadyba, Czyżewska Nr 8, zapytuje o swojego syna Zdzisława, noszącego pseudonim Karmin, z batalionu Więzy. Padł podczas walki w ruinach królewskiej katedry. Gdzie został pochowany?

Serdecznie Panu Redaktorowi dziękuję za umieszczenie już trzeciej listy. Kreślę się z koleżeńskim pozdrowieniem

Stanisław Podlewski

Nadesłano

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

Kozłowska Nina: MYSZKA IDZIE DO SZKOŁY. Str. 32. Katowice, 1947.

Managiewicz R.: WIELKI SZTORM, powieść dla starszej młodzieży, str. 240.

Kraszewski J. I. — HISTORIA O JANUSZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE. Powieść z czasów Jana Sobieskiego. Wstępem i objaśnieniami opatrzył prof. Wiktor Hahn, str. XVI plus 268. Warszawa, 1947.

Szyper Henryk — ADAM MICKIEWICZ POETA I CZŁOWIEK CZYNU. Zarys Popularny, str. 246. Warszawa, 1947.

Iwazkiewicz Jarosław. — CZERWONE TARCZE. Powieść historyczna, str. 378. Warszawa, 1947.

Szolochow Michał. — CICHY DON, tom II (część I i II), str. 226 plus 254. Warszawa, 1947.

Borejsza Jerzy. — NA ROGATKACH KULTURY POLSKIEJ, str. 32. Warszawa, 1947.

Adam Ważyk. — MITY RODZINNE. Powieść, str. 314. Warszawa 1947. NAJCIĘKAWSZA PODRÓŻ Z DR WSZĘDOBYLSKIM. — Wydanie drugie uzupełnione. Przel. inż. I. Walter i T. Zabłudowski. Okładkę i wyklejki projektował Stanisław Hiszpański, str. XII plus 178.

GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA 1947.

Popławski Bohdan — CAŁUN. Powieść, str. 512.

Orkan Władysław. — W ROZTOKACH, str. 335.

H. Beecher Stowe. — CHATA WUJA TOMA. Z czterema rycinami, str. 248.

Carrol Lewis. — ALA W KRAJNIE CZARÓW. Wydanie czwarte. Wolny przekład z angielskiego Marii Morawskiej. Wiersze przeł. H. Lan ge. Ilustracjami ozdobił K. Mackiewicz, str. 188.

Szelburż Zarembina Ewa.—A... A... A... KOTKI DWA..., str. 32 nlb. Makuszyski K. — M. Walentyńowicz: — 120 PRZYGÓD KOZIÓŁKA MATOŁKA. Wydanie szóste, str. 24.

Gomulicki Wiktor. — WSPOMNIENIA NIEBIESKIEGO MUNDURKA. Wydanie dziesiąte. Z 6 ilustracjami. Str. 294.

Reksza Aleksander — Marian Strzelecki. — WIELKA GRA. Wyd. II, str. 354.

PRACA WYDANA Z ZASIŁKU WYDZIAŁU NAUKI MINISTERSTWA OŚWIATY

Aleksander Witold Rudziński. — Z LOGIKI NORM, str. 60. Wydawnictwa Wydziału Prawa U. J., Nr 8, Kraków, 1947.

TRZASKA, EWERT I MICHALSKI, WARSZAWA 1947.

Dr Kazimierz Demel — ZWIERZE I JEHO ŚRODOWISKO. Wstęp do ekologii zwierząt. Z 162 ilustracjami, str. 424. Biblioteka Wiedzy, Tom 50.

Dr Ludwik Gross — SIEWCY CHOROBU I ŚMIERCI, str. 336. Biblioteka Wiedzy, tom 49.

Dr Ludwik Gross — LUDZKOŚĆ W WALCE O ZDROWIE. Z 4 portretami. Wydanie III. Całkowicie przerobione. Str. XVI plus 384. Biblioteka Wiedzy, tom 21.

Artur Słowiński — JAN ZAMOYSKI, Kanclerz i hetman wielki koronny. Z 17 ilustracjami, str. 428 plus 4 nlb.

„AWIR”, KATOWICE 1947.

W. Somerset Maugham — OSTRZE BRZYTWY Powieść, str. 336.

James Hilton. — ZAGUBIONE DNI. Powieść, str. 336.

Janusz Meissner. — PILOT GWIAZDZISTEGO ZNAKU. Powieść, str. 192.

Wojciech Zukrowski. — PIÓRKIEM FLAMINGA.

KSIĘGARNIA ŁOWICKA, ŁÓWICZ 1947.

Dr Jan Weđner. — ŁOWICZ W LATACH POTOPU. Str. 188 plus mapa.

WARSZAWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA „SYRENA”, WRSZAWA 1947.

Kraszewski Józef Ignacy. — HISTORIA PRAWDOŚCI O PETRUKU WŁASCIE PALATYNIE, KTÓREGO ZWNO DUNINEM. Str. 255 plus 1 nlb. Warszawa 1947.

Hawthorne Nathaniel. — SZKARŁATA LITERA. Powieść z przedmową Stanisława Helsztyńskiego, str. 192.

Goldsmith Oliver. — PLEBAN Z WAKEFIELDU. Z przedmową Stanisława Helsztyńskiego, str. 224.

KSIĘGARNIA ZDZISŁAWA GUSTOWSKIEGO, POZNAŃ 1947.

Korczkowska Jadwiga. — GWIAZDKA PIOTRUSIA. Wesołe opowiadanie fantastyczne dla małych dzieci, str. 20.

Krokowski Stanisław. — ZACZAROWANE LOTNICTWO. Ilustrował A. Krakowski, str. 8 nlb.

NAKŁADEM UNIwersytetu MARIJ CURIE - SKŁODOWSKIEJ, LUBLIN 1947.

UNIwersytet MARIJ CURIE - SKŁODOWSKIEJ. 3 Lata Pracy. 1944/45 — 1946/47, str. 247 plus 1 nlb.

USTAWA O DWULETNIM PLANIE GOSPODARCZYM CZECHOSŁOWACJI. Orbis — Praga 1947.

PROGRAM ODBUDOWY RZĄDU PREM. GOTTFALDA REP. CZECHOSŁOWACJI.

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA, POZNAŃ 1947

Jeleński S. — MIÓD Z OPOKI Rozpowieść, str. 302 plus 1 nlb.

Bieniacz Józef. — EDUKACJA JÓZIA BARĄCZA. Powieść z życia gimnazjastów. Wydanie nowe, poprawione i uzupełnione. Str. 286.

Nowak Janusz, prof. — DYRYGENT CHÓRU. Podręcznik dla kierowników Chórów, przedmowa: Zdzisław Jahnke. Str. 84.

Jasiński Jan, mgr. — GRY I Cwiczenia TERENOWE. Dla organizacji młodzieży, hufców P. W. oraz szkół powszechnych i średnich. Wyd. IV, str. XII plus 332.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 5.

B-41082